Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 10 zł.

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V | Łódź, 18 stycznia 1948 r. | Nr 3 (132)

W NUMERZE

między innymi:

Wiesław Jażdżyński

O ZWIĄZKU WALKI MŁODYCH

W dniach 6—8 grudnia 1947 roku odbył się w Warszawie ogólnopolski Zjazd Młodzieży Związku Walki Młodych.

Obecni, jeżeli pamiętali przedwojenne zjazdy młodzieży lewicowej, zwrócili zapewne uwagę na fakt, że mówcy z poszczególnych organizacji — ZWM, ZNMS, „Wici", OM TUR czy ZMD — formułowali ostro i wyraźnie postulaty ideologiczne reprezentowanych przez siebie ruchów młodzieżowych, zapowiadając wspólny udział w rozbudowie i utrwaleniu ustroju „ojczyzny chłopów i robotników".

Trzeba nam będzie odpowiedzieć na dwa pytania, jakie narzucały się obecnym na Zjeździe: po pierwsze — od jak dawna rzeczywistość społeczna wskazywała, że dalszy postęp w rozwiązaniu problemów społeczno-narodowych takiej właśnie wymagał ideologii?



Ludwik Waryński

Po drugie — trzeba będzie odpowiedzieć, nie na pytanie: dlaczego od tak dopiero niedawna powstał Związek Walki Młodych i nie dlaczego tak nagle inne organizacje młodzieżowe — „Wici", ZNMS, czy ZMD okazują się ideowo mu bliskie, ale właśnie dlaczego tak **późno** doczekaliśmy się tego szerokiego nurtu młodzieży zorganizowanej dla „ojczyzny chłopów i robotników"?.

1. „SZTURM DO NIEBA"

W ostatnich trzech dziesiątkach lat XIX wieku obserwować można na terenie Królestwa szczególnie szybki wzrost kapitalizmu i jego konsekwencji społecznych.

Kiedy jeszcze w roku 1877 przemysł Królestwa Polskiego zatrudniał tylko 90.767 robotników a wartość produkcji osiągała zaledwie 103.404 tys. rubli rocznie (W. Kula „Historia Gospodarcza Polski 1864—1918") to w roku 1903 — 13.209 fabryk zatrudniających już 252.126 robotników, osiągnęło produkcję roczną wartości 424 milj. rubli. Większe zakłady fabryczne (zatrudniające ponad 50 robotników) stanowiły wprawdzie 30,5 proc. ilości ogólnej, skupiały jednak 89 proc. wartości rocznej produkcji, a ilość pracujących tam robotników wynosiła 87% liczby ogólnej.

Proletariat wiejski wzrastał w tym czasie znacznie szybciej. Jeżeli przyjąć za Wł. Grabskim („Materiały w sprawie włościańskiej"), że ilość bezrolnych wynosiła w roku 1864 — 220.000, to ogłoszona urzędowo w roku 1891 liczba bezrolnych wynosiła już 849.000. Wzrost protetariatu wiejskiego osiągnął zatem 550 proc., podczas gdy w tym samym czasie ogólna liczba mieszkańców Królestwa powiększyła się tylko o 175 proc.

W organie pozytywistów warszawskich — „Przegladzie Tygodniowym" (Nr 1. 1887) można przeczytać następującą ocenę społecznych konsekwencji wzrastającego kapitalizmu: „Mamy różne piękne choroby społeczne. Analfabetyzm, nędzę bezrolnych i robotników, wyzysk niezmierny pracujących dziewcząt, brak pomocy lekarskiej po wsiach, przerażającą śmiertelność wśród dzieci... Głód, nędzę i choroby..., zbrodnie, pijaństwo, niechlujstwo, prostytucję najzupełniej europejską..."

Ponury obraz rzeczywistości społecznej kapitalizmu, znajdujemy także w „Prawdzie", wydawanej przez Aleksandra Świętochowskiego: (Nr 1, 1898 r.) „...począwszy od zamożnych kolonistów i kupców, którzy zbierają bandy zbójeckie, a skończywszy na bogatych lichwiarzach, bankierach i przemysłowcach ciągnie się łańcuch mniej lub więcej godnych usiłowań zdobycia pieniędzy... przemysłowiec zagrożony zastojem, wyciska z pracy możliwe korzyści".

Obraz pogłębiających się przepaści społecznych, nadmiernego wzrostu bogactw jednostek, kosztem proletaryzowania robotników i drobno — rolnych chłopów, przenikał do nielicznych stosunkowo szkół średnich Królestwa i Galicji budząc pośród wrażliwej na nędzę ludzką młodzieży, chęć do szukania rozwiązań dla narastających problemów klasowych. Jedno z rozwiązań podawał ówczesny system wychowawczy.

W popularnym na terenie Królestwa i Galicji podręczniku szkolnym prof. Michała Bobrzyńskiego („Dzieje Polski w zarysie") czytamy: „Musimy poznać we wszystkich szczegółach objawy i następstwa **zabijającej równości,** ażeby w dzisiejszej pracy społecznej, uszanować jednostki, **przodujące siłą swojej tradycji**, talentu, wykształcenia, zasług, ażeby zdrową hierarchię wyrobić i utrzymać, ażeby jedni umieli prowadzić, a drudzy ich popierać i słuchać"

Przytoczony fragment „starej wiary" w przyrodzony hierarchiczny porządek społeczny świata, nie wyczerpywał już niepokojów młodzieży.

Jakkolwiek „ławka szkolna była otwarta dla pisarzy o marce najwyżej liberalnej, jaką wyróżniał się Turgeniew" (L. Krzywicki — „Wspomnienia"), a w bibliotekach szkolnych można było dostać tylko Verne'a, Mayne Reida, czy F. Coopera, czasem Byrona i Szekspira, to jednak w literackich portretach bohaterów gimnazjów końca XIX wieku spotkać już można zaczątki „nowej wiary".

Wszędzie tam, gdzie młodzież zdobywała książki spoza biblioteki szkolnej, wytwarzała się podniecona atmosfera zakonspirowanych dyskusji. W Klerykowie czytano „Historie cywilizacji w Anglii" — Tomasza Buckle'a, książkę, która „zrodziła całą szkołę filozoficzno-materialistyczną". Tłumacze Buckle'a i zwolennicy postępu wyjaśniali sobie podstawowe pojęcia ekonomiczne: wartość, rentę, czynsz, zysk, a „na stancji u tzw. „Czarnej Pani...", nieraz do późna w nocy wrzały zaciekłe spory z metafizykami, z idealistami i pomidorowcami, czyli grupą wierną katolicyzmowi... Borowicz był poniekąd specjalistą od ateizmu. Raptowne zdruzgotanie ustalonych wierzeń wprowadziło ośmnastoletniego szóstoklasistę do całkowicie nowego świata „Nauka" siała ziarno zuchwałego szturmu do niebios".

Podobny do Borowiczowego przełomu przeżył i bohater „Nieba w płomieniach" — Teofil Grodzicki, który nieco później napisał po raz pierwszy „słowo **bóg** z małej litery". Syn radcy cesarskiego postawił na akademii uczniowskiej dramatyczne pytanie: „Wychowani w ponurym bałwochwalstwie, nauczeni klękać i odkrywać głowę przed symbolami, które są obce naszej ziemi — kiedyż wreszcie ustanowimy religię według naszego serca i uderzymy czołem przed świętością, której już ani nam rozum nie odbierze, ani uczucie nasze się jej nie powstydzi".

Nowa wiara Teofila nie inne miała źródła niż Marcina Borowicza. „Substancja, energia, przyczynowość, ewolucja, atom — takie teraz były imiona bóstw zawartych w cząsteczkach czasu lub w cząsteczkach przestrzeni".

Nauka XIX wieku, podparta autorytetem Comte'a i Spencera!

Postacie Borowicza i Grodzickiego ożywia znakomicie pamiętnik Ludwika Krzywickiego. Autor „Wspomnień" pisze w jaki sposób zupełnie poza szkołą, czytając Comte'a i czasopisma warszawskich pozytywistów doszedł do własnego światopoglądu.

„Nocami — pisze Krzywicki — i podczas samotnych przechadzek dorabiałem się własnego poglądu na świat, własnej filozofii, własnego programu społecznego. W klasie siódmej wydawałem „Pracę" — w jednym egzemplarzu pisaną, sprowadziłem „Filozofię pozytwną" Comte'a i zacząłem tłomaczyć tom pierwszy. A jak Comte przywłaszczył sobie poglądy Saint-Simona, ażeby je sfilistrzyć, tak samo przy pomocy pozytywizmu naszych postępowych organiczników, **idealizujących jednakowo pracę przedsiębiorcy i robotnika,** odtwarzałem — podczas wczasów, które pozostawały od tańców i łyżew — założenia saint-simonizmu, jako ówczesne moje wyznanie wiary, a właściwie dorabiałem się do nich nieświadom ich istnienia".

Tak więc, dochodząc samotnie do zdobyczy „nauki pozytywnej" XIX wieku wyobrażała sobie młodzież, że jakiś nieokreślony, ukształtowany poza historią, przyrodzony i wieczny czynnik ewolucji popycha świat ku lepszemu i załatwi automatycznie problem nędzy i zła. Naród złożony z fabrykantów, robotników i chłopów może przyspieszyć tę ewolucję, jeżeli zgodnie i w harmonii zabierze się do „pracy od podstaw". Wtedy, daleko szybciej nadejdzie czas, kiedy na ulicach Warszawy nie będzie już mdlał codziennie jeden człowiek z głodu. (Przegląd Tyg. Nr 3. 1905).

Otrzymaliśmy obraz młodzieży, która znając dobrze literaturę polską, nieraz i obcą, posiadając niekiedy wiedzę filozoficzną, przejęta hasłami ewolucjonistów i „organiczników", głosiła materializm w ramach kapitalistycznego systemu społeczno - gospodarczego. Pomyłkę wyjaśniły pierwsze lata przełomu XIX na XX wiek.

2. „STUDENCKA MGŁAWICA"

Kiedy w roku 1878 wstępuje Ludwik Krzywicki na Uniwersytet Warszawski, zastaje tam atmosferę, w której wysuwano już niekiedy potrzebę zmiany ustroju kapitalistycznego na jakiś inny. Echa walk, jakie prowadziła „Narodna Wola", rewolucyjna organizacja rosyjska „wtargnęły przez Wilno i Kijów do Warszawy i przybierały charakter jak gdyby epidemii umysłowej" (Krzywicki).

Charakteryzując tę „epidemię umysłową" pisze L. Krzywicki: „Był to ferment, który w różnych kierunkach zaczął oddziaływać na życie młodzieży uniwersyteckiej, podważając powoli ideologię pracy organicznej. Właściwie nie było żadnego jednolitego planu działania, ani jednolitej ideologii. Tworzyła się jakaś **mgławica,** która z każdym rokiem rozrastała się, ale bynajmniej nie ujednostajniała. Byli tam ludowcy znaku włościańskiego, na których pokost socjalistyczny trzymał się, by w przyszłości odpaść: Bolesław Hirszfeld, Mieczysław Brzeziński: byli nihiliści typu rosyjskiego..., byli patrioci dla których socjalizm miał być środkiem ku obronie narodowości... byli w końcu międzynarodowcy, którzy nie chcieli słyszeć o sprawie narodowościowej... A przede wszystkim była wielka moc kolegów dobrych do wypitki i do wybitki, którzy tworzyli rdzeń młodzieży radykalnej, hołdowali poglądom opozycyjnym dlatego, że te dawały ujście ich energii czynu, pozwalały przy okazji wykłócić się, a nawet poawanturować się. I w umysłach te różne nastroje wiązały się niekiedy w niedorzeczną jednię, ludowiec współpracował z socjalistą, a patriota kumał się z międzynarodowcem. W każdym razie różne nastroje kłębiły się i przelewały wśród młodzieży, niby mgły poranne nad łąkami".

Podczas gdy na Uniwersytecie Warszawskim przyjaźnili się w niezwiązanej z czasem i przestrzenią mgławicy pojęć — Roman Dmowski, niezadługo zdecydowany wróg socjalizmu, z „socjalistą" Stefanem Żeromskim „sympatykiem każdej idei, która sama w sobie jest czysta i wzniosła" (Piołun Noyszewski — „Stefan Żeromski") jakże tragicznie przedstawiała się rzeczywistość społeczna Królestwa, wynikająca z dalszego rozwoju kapitalizmu.

W liczącym na przełomie XIX wieku ponad 11 milj. ludności Królestwie zaledwie 61 tys. osób i instytucji osiągało ponad 1000 rubli rocznego zarobku. 125 kapitalistów zarabiało ponad 50 tys. rubli rocznie, a ponad 350-ciu —20 tys. rubli. Na każdych 100 mieszkańców Królestwa, żyjących z własnej pracy — 40% stanowili robotnicy, których olbrzymią, bo sięgającą 35% część stanowiły znacznie gorzej płatne kobiety. Płaca robotników w Królestwie wynosiła przeciętnie 1—1,5 rubla dziennie i była średnio o 24 proc. mniejsza niż górników i hutników na sąsiednim Śląsku. Urzędowa statystyka z roku 1904 wykazała 6 221 wypadków przy pracy, zakończonych kalectwem lub śmiercią robotnika, a liczba ubezpieczonych od wypadków robotników przez kapitalistyczne przedsiębiorstwa wynosiła zaledwie 11 proc. (30.938 na 283.683 pracujących robotników i robotnic) — podaje J. Grabiec („Współczesna Polska w cyfrach i faktach").

Nie lepiej wyglądała sytuacja w rolnictwie. Na blisko 5 milionów ludności rolniczej Królestwa, zaledwie 146 bogaczy miało więcej niż 20 tys. rubli rocznego dochodu, a liczba osiągających 1000 rubli w tym samym czasie zbliżała się do 10 tys. osób. Bezrolny proletariat wiejski stanowił w 1897 roku 13,2 proc. ogółu ludności, a więc 1 milion 250 tysięcy osób! (J. Grabiec).

Jakie środki zaradcze, na pogłębiającą się nędzę robotniczo-chłopskiego proletariatu znajdował po „organicznikach" — obóz narodowego nabożeństwa nadal idealizujący jednakowo pracę przedsiębiorcy i robotnika?

Poprawę bytu przez oświatę dla ludu? Chyba nie, bo mimo takiej działalności w stylu Joanny Lipskiej stan oświaty w Królestwie był opłakany. Na przeszło 11 milj. mieszkańców zaledwie 485 tys. dzieci i młodzieży uczyło się we wszystkich zakładach naukowych Królestwa (rok 1903). W tym też właśnie roku przypadała jedna szkoła ludowa na 28,3 wiorst kw., jedna na 2.573 mieszkańców i na 433 dzieci w wieku szkolnym (J. Grabiec).



Ludwik Krzywicki w 1885 r.

Filantropia?

Owszem, i to jaka! W prasie warszawskiej — podaje „Przegląd Tygodniowy" (nr 3, 1905) można było czytać i takie ogłoszenia: „Bezpłatnie śpiewu włoską szkołą osobom (kobietom) niezamożnym udzielam".

Ten sam „Przegląd Tygodniowy" (nr 12, 1905) podaje oświadczenia dra St. Kurtza, przewodniczącego Warszawskiego Tow. Dobroczynności i Czasowego Komitetu Ratunkowego dla Głodnych, w którym prezes stwierdza, że na przeszło 4000 podań głodnych może rozpatrzyć pozytywnie (i tylko w części) — jedynie 470. „W czynności tej — mówił dr Kurtz — dopomagają nam członkowie Towarzystwa Wioślarskiego". I kończy: „...obecnie mam nadzieję, że akcja ratunkowa pójdzie w szybszym tempie... ponieważ siostry miłosierdzia św. Wincentego a Paulo wzięły do sprawdzenia 300 podań"...

Tak więc, przy pomocy filantropii, nieodłącznego curiosum kapitalizmu, odpowiedziano pozytywnie na kilkaset podań o chleb, jakie miały pełne prawo złożyć miliony nędzarzy.

Zapytajmy skolei na jakiej drodze widział proletariat wydobycie się z dna nędzy?

„My organizowaliśmy klasę robotniczą do walki z ustrojem kapitalistycznym — mówił Ludwik Waryński w czasie procesu sądowego „Proletariatu" — My nie stoimy ponad historią My ulegamy jej prawom. Na przewrót, do którego dążymy patrzymy jak na rezultat rozwoju historycznego i społecznych warunków. Przewidujemy go i staramy się, ażeby nie zastał nas nieprzygotowanymi".

Jasno i wyraźnie sformułowane przez grupę „Proletariatu" hasła, dalekie przecież od „idealizowania jednakowo pracy przedsiębiorców i robotników" stwierdzały konieczność rewolucji społecznej na gruncie bezwzględnej walki z kapitalizmem, spodziewając się w ten

(c. d. na str. 3-ej)

Jerzy Pomianowski

EFFENDI KAPIJEW

Książka Effendi Kapijewa ma się już wkrótce ukazać nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik“ w ramach planu wydawniczego Klubu Literackiego „Odrodzenie“. Aczkolwiek nic się jeszcze nie wie u nas o Kapijewie i chociaż książka jego nie była wymieniona ani przez Kotta, ani przez żadnego innego konstruktora projektów najpilniejszych publikacyj, ukazanie się „Poety“ w tłumaczeniu polskim nie wydaje się przedwczesne. Nie dość na tym, że Kapijew jest na pewno jednym z najtęższych stylistów rosyjskich ostatnich dziesięcioleci, nie dość, że książka jego ma, prócz literackich nieprzeciętne walory społeczne, nie dość, że bohaterem jej jest — zdawałoby się—zaściankowy i niepiśmienny poeta maleńkiego szczepu góralskiego, przetrzebionego w ciągu wieków do tego stopnia, że w przeddzień rewolucji skazany był na wymarcie. Losy twórcy tej książki i historia jego twórczości, szczególnie jest pouczająca dla literatów europejskich, dla pisarzy ludowych w pierwszym rzędzie. Trudno o wymowniejszy przykład szczęśliwej zależności i twórcy i materiału literackiego od rewolucji społecznej. Kapijew jest z pochodzenia lakiem. Sulejman Stalski, który stał się prototypem bohatera jego opowieści — lezginem. W Dagestanie, ich wspólnej ojczyźnie, górzystym i nieurodzajnym kraiku, leżącym nad północnozachodnim kątem morza Kaspijskiego, zamieszkuje niemniej niż czterdzieści takich plemion. Niegdyś łączyła je tylko religia mahometańska i wspólna beznadziejną walka z imperializmem carskim i wyzyskiem miejscowych kacyków. Jeszcze niedawno żadne z tych plemion nie miało własnego piśmiennictwa. To tu właśnie posiadanie kilkunastu baranów dawało prawo do tytułu książęcego. Zresztą nie mnóżmy przykładów. To była nietylko autentyczna Azja; to była jej prowincja. Dawno minęły te czasy, gdy Dagestan był kluczową twierdzą na drodze z Anatolii, Mezopotamii, Kurtystanu, Indyj i Iranu do Rosji, do Europy. Najazdy Dżingisa i jego marszałków — Dżebe-Nojona i Subudaja zburzyły nie tylko forty i miasta pobudowane przez carów gruzińskich i Harun al Raszyda (który był nie tylko bohaterem arabskich awantur, ale i jednym z najszczęśliwszych kolonizatorów Bliskiego Wschodu); te i następne najazdy wstrzymały tu na długie wieki rozwój kultury materialnej. Dagestan słynął co najwyżej z pięknych koni, niezłych szabel, taniego robotnika dla pobliskiego Baku. Stał się rezerwatem tej szablonowej egzotyki, którą po dziś dzień zalatuje wszystko, co się z Kaukazem w pojęciu przeciętnego Europejczyka kojarzy. Prawda, był jeszcze ojczyzną Szamila i całego niemal kaukaskiego ruchu oporu, który tyle krwi napsuł wszystkim „białym generałom“ Imperatora Wszechrosji w minionym wieku. Nie ulega wątpliwości, że gdyby nie Rewolucja Październikowa, która stała się tu nietylko radykalnym przewrotem społecznym ale i narodowym, sytuacja polityczna i kulturalna ludów Dagestanu mało by się różniła od położenia Zulusów, czy mieszkańców wysp Malajskich, którzy po dzień dzisiejszy korzystają z różnorakich dobrodziejstw opieki Anglików bądź Holendrów z tej właśnie racji, że zacofanie kulturalne „nie pozwala jeszcze“ na przyznanie im samodzielności politycznej.

W Rosji Radzieckiej utwory lezgina Sulejmana Stalskiego przetłumaczono na wszystkie bodaj języki tego dwustumilionowego państwa. To samo stało się z wierszami Gamzata Cadassy i awara Mahmuda. Poeci ludowi Dagestanu są członkami Związku Zawodowego Literatów, co zresztą dotyczy w tym samym stopniu pisarzy tadżyckich, czy jakuckich. Formuła Stalina o kulturze radzieckiej — narodowej z formy, a socjalistycznej z treści rozumiana jest i stosowana w ZSRR jak najkonkretniej. Nikt nie tworzy getta dla ludów, literatur i ich przedstawicieli, będących dotychczas outsiderami kultury, z drugiej zaś strony — nikt nie rezygnuje z tych wartości kultury ludowej, które są glebą żywiącą dla kultury ogólnoludzkiej.

Nie trzeba podkreślać jak wielką rolę grają w Związku Radzieckim tłumacze poezji i prozy, bez których nie sposób by udostępnić arcydzieł literatur narodowych czytelnikom, znającym tylko swój język ojczysty. Sulejman Stalski miał szczęście — wiersze jego tłumaczył Effendi Kapijew. Już to by wystarczyło, by zapewnić temu ostatniemu sławę zasłużoną. Ten „przybrany syn mowy rosyjskiej“ był jednak na pewno znakomitszym jeszcze pisarzem niż tłumaczem. Piszę „był“. Nie jest niestety, bo śniadolicy ten azjata zginął w 1942 roku broniąc, jako oficer Armii Czerwonej Kaukazu przed najazdem „przedstawicieli“ cywilizacji europejskiej. Zdążył przed tym wydać „Poetę“ i zbiór pieśni poetów ludowych dagestańskich pt. „Ryte w kamieniu“. Niewiele. Znaczenie jednak tych rzeczy jest o wiele większe niż ich walor artystyczny: to zjawiska nieprzypadkowe, ale w rzeczywistości radzieckiej raczej naturalne, tyle tylko, że wcześniejsze od innych. O „Poecie“ trudno powiedzieć cokolwiek dopóty, dopóki czytelnicy polscy pojęcia nie mają nie tylko o autorze, ale i o — nader w Związku Radzieckim rozpowszechnionej — twórczości tego typu. Kazuistyka emancypacji kultury ludowej i zasilania przez nią nurtu ogólnego, będąca u nas jeszcze przedmiotem dyskusji, jest w ZSRR realnym elementem ogólnopaństwowego planu kulturalnego. Cóż tu zresztą mówić o znajomości twórczości literackiej Wschodu Radzieckiego, jeżeli nie tylko przeciętni czytelnicy polscy ale i poniektórzy przedstawiciele literatury, ba krytyki! jeśli już piszą o literaturze nie lezgińskiej, czy uzbeckiej, ale rosyjskiej to czynią to z taką nonszalancją, jakiej właściwie od ignorancji odróżnić nie sposób. Tak np. bardzo przeze mnie ceniony, skądinąd oczytany, jak sądzę, nawet inteligentny poeta i krytyk teatralny, w recenzji, zamieszczonej nie dawno na łamach „Odrodzenia“ pisząc z rewerencją o widzianej przez siebie w Pradze Czeskiej komedii „Śmierć Tarełkina“ dwukrotnie wymienia jako jej autora słynnego satyryka rosyjskiego Sałtykowa — Szczedrina. Nie chodzi już o to, że autorem tej znakomitej, acz cokolwiek makabrycznej groteski jest niejaki Suchowo-Kobylin. Tego mógł recenzent nie zapamiętać; mało kto słyszał u nas o tym wspaniałym komediografie. Jednakże trzeba, jak sądzę, wiedzieć co napisał Sałtykow — i już na pewno — czego nie napisał ten najświetniejszy satyryk rosyjski drugiej połowy XIX wieku, Swift i Wolter rosyjski Romanowów, ulubiony pisarz Lenina. Nawiasem dodam, że i Suchowo - Kobylinem warto by się u nas poważnie zainteresować. Na przynętę dla arrywistów naszej rusycystyki informuję, że świetnemu temu pisarzowi zdarzyło się w swoim czasie zarżnąć kuchennym nożem swoją przyjaciółkę Francuzkę, przyczem, perypetie związane z wykupywaniem się od procesu sądowego natchnęły Kobylina do napisania trylogii dramatycznej, której „Śmierć Tarełkina“ jest jedną z części. Caeterum censeo — sprawa popularyzacji kultury radzieckiej w Polsce musi ulec zasadniczej zmianie. Wiemy wciąż jeszcze mało, niedokładnie i opacznie, o najważniejszych procesach i wydarzeniach mamy pojęcie niejasne, a często fałszywe. To naprawdę jeden z najważniejszych punktów naszego programu kulturalnego. Ba, i politycznego. Podobno najpiękniejszym kształtem przyjaźni jest poezja. Potraktujmy sprawę szerzej — i poezja i jej znajomość. To samo dotyczy dramatu, prozy, nauki ścisłej, folkloru itd. Nie może być mowy o rzetelnej przyjaźni bez dokładnej znajomości dorobku kulturalnego. Nie dobrze, jeśli się okaże, że Kisiel ma rację. Kultura ludów Związku Radzieckiego na pewno zasłużyła na to, by ją Polsce udostępnili nie „kazionni“ fabrykanci makulatury. Entuzjastów nie powinno zabraknąć.

Tych kilka słów w żadnym wypadku nie może zastąpić prac o Kapijewie, o społecznej treści jego odkrywczej książki o Stalskim, o tradycjach Homera w Azji i Europie, o poezji ludów radzieckich, o polityce kulturalnej państwa socjalistycznego, o emancypacji narodowej Wschodu Radzieckiego, o koneksjach kulturalnych Europy i Azji, o wspólnej kulturze narodów radzieckich i o przekreślającej getta kulturalne wspólnocie wolnych ludów; o wszystkich tych sprawach trzeba jak najprędzej napisać. Oczywista, trzeba przedtem mieć jakie takie pojęcie o temacie. Więcej kontaktów bezpośrednich, studiów wzajemnych, książek i czasopism. Tymczasem — czytajcie „Poetę“, który jeśli co ze swoich piękności straci, to chyba tylko z winy tłumacza.

E. Kapijew tłum. J. Pomianowski

WŁADZA

(Fragment powieści pt. „Poeta")

Cóż TO za tłum niebywały tłoczy się na zboczu pagórka od stóp jego do szczytu? Ludzie stoją i siedzą, pokrywając zbocze, jak w ogromnym amfiteatrze, twarze mają zwrócone w stronę uskoku, nad którym stoi smagły młodzieniec słusznej budowy. Przemawia. Czoło jego lśni od potu. Obok, nad skrajem uskoku stoi kilku aksakałów — siwobrodych, szanowanych ogólnie starców. Woń południowego żaru zastygła nad górami.

To nadzwyczajny wiec czterech osad okolicznych, niegdyś wadzących się stale między sobą. Wiec zwołany był z powodu posuchy. Już od 4-ch tygodni nie ma deszczu. Schną zasiewy a przede wszystkim schną pola gminne, zasiane w tym roku po raz pierwszy na gruntach bezwodnej doliny. Wiec w toku.

— Surchaj nie ma racji! — krzyczy młodzieniec potrząsając dłonią (stoi nad uskokiem jak na trybunie i ma przed sobą zbocze gęsto obsiane ludźmi). Słuchajcie, towarzysze! Wyjście mamy i możemy się nie bać posuchy, jeżeli zrobimy, co należy. Raz i na zawsze trzeba skierować bieg rzeki Źródlanej z tej góry w stronę bezwodnej doliny. Zastanówcie się sami

— Jakto? — przez parów? — przerywają mu od razu dziesiątki głosów.

— Tak, przez parów! — mówi młodzieniec. — W ciągu 5-ciu dni przerzucimy cały akwedukt, koryto wiszące. Inaczej wszystko poschnie. Będziemy pracować we dnie i w nocy i jeżeli weźmiemy się wszyscy, co do jednego... Ech, przyjaciele, wierzcie, wszystko jest w naszym ręku

Jakby wiatr nagle powiał. Gromada ludzka pokrywająca zbocze z góry do dołu faluje. Szum i jazgot coraz się zwiększa.

— Co on powiada? Brednie!

— Ma rację!

— Nie czas na żarty! Hej, opamiętajcie się!

— Towarzysze! krzyczy młodzieniec, starając się wszystkich przekrzyczeć — Spójrzcie tylko: tu macie górę z rzeką Źródlaną, a tu macie bezwodna dolinę. Między nimi tylko ten parów. Czyżbyśmy...

— Parów śmieje się z ciebie! — rozlega się czyjś ostry głos. — Rzekę mu się zawrócić wstecz zachciało! Widział to kto!

— A zawrócimy ją! — woła gniewnie mówca. — Zawrócimy! Zobaczysz!

Gwar i okrzyki łączą się w nieartykułowany wrzask. Z pobliskiego parowu odpowiada niepewne echo. Jakaś niespokojna i zarazem głucha siła wzbiera w tych ludziach.

— Co za wymysły? Jaki tam znowu akwedukt?

— Nie wyobrażacie sobie nawet, — natęża się mówca, spocony od krzyku. — Głowę daję... Chyba nie na darmo uczyłem się w mieście. Możecie mi wierzyć: albo stracimy całe nasze nowe zasiewy, albo zmusimy rzekę, by przeskoczyła przez parów. Decydujcie.

—I to wszystko w ciągu 5-ciu dni? — rozlega się głos z tyłu.

— Pięciu! — odpowiada młodzieniec gwałtownie. — Inaczej być nie może. Czy to nie jasne? Przecież zasiewy poschną!

— Mahomet, możeś ty zwariował? — mówi wciąż ten sam, niedonośny, ale dobitny głos.

Mówca przerywa, ogląda się. Tam, wśród siwobrodych aksakałów stoi żylasty starzec spokojnie i z udaną obojętnością patrząc przed siebie. W oczach jego błyszczy złośliwa ironia. Tłum milknie. Ludzie, już prawie przekonani, znów zastygają bezwolnie na swoich miejscach.

— Chłopcze, chłopcze — zrzędzi starzec. — za kogo ty nas bierzesz?

— Za lud! — odpowiada młodzieniec; war mu uderza do twarzy. — Patrzcie, ojcze: zebrały się tu cztery auły. Dawniej przecież nie znaliśmy nawet swoich sił. Wadziliśmy się przecież ze sobą, przypomnijcie sobie wszyscy żyliśmy w niezgodzie, a teraz... przecież to siła, widzicie sami...

— Przestań! — starzec macha ze złością ręką. — Jaka tam siła? Żeby zawrócić bieg rzeki, potrzebna jest siła wielkości tej góry. Mało co tam komu wpadnie do głowy? Zasiewy nasze, powiedzmy przepadły i tyle... Nie warto było męczyć się i siać na bezwodnych gruntach. Teraz zapóźno. To ja ci powiadam, ja, Szachsuwar!

— Czekaj, — mówi stropiony młodzieniec. — To znaczy jak? Ty mówisz w czyimś imieniu, czy tylko we własnym?...

Starzec wzrusza ramionami.

— Ej, ojcowie! — krzyczy doprowadzony do rozpaczy mówca, zwracając się do starców. — Wy mu chociaż powiedzcie. Ja nie śmiem przy ludziach sprzeczać się z aksakałem. A on nie ma racji! Jakto, to te nowe zasiewy tak mają przepaść? Coście robili za waszych czasów? Poco my się więc tu zebrali?

Starcy milczą ponuro, z ich zastygłych, zamkniętych twarzy poznać, że nie pochwalają zapalczywości młodego mówcy i że są pełni wątpliwości co do jego projektu.

— Za naszych czasów, — mówi wciąż ten sam kościsty starzec, — za naszych czasów zanosiliśmy prośby do Boga, synu mój i Bóg nam pomagał. Zapytaj najstarszego (skinął ręką na zgarbionego, zgrzybiałego starca, siedzącego nieopodal na kamieniu). Zapytaj go, on ci powie.

— Nie wciągajcie Boga w te spory! Przestańcie spierać się o Boga! — woła staruszek, ogarnięty nagłym lękiem, bezradnie podnosząc obie ręce (stara się wstać, jego dłoń trzymająca posoch drży). — Zostawcie Boga w spokoju, bo mnie do łez doprowadzicie... Trzech starców podchodzi do niego i bierze go pod łokcie.

— Nie sprzeczamy się, Meżwedilu, — mówią ponuro. — Już wszystko skończone.

Starzec znów przysiada na kamieniu i dysząc ciężko, zastyga z opuszczoną głową.

— Kiedy byłem młody — mamrocze, — Bóg bardzo mnie lubił.. W tej chwili w grupie starców rozlega się naraz:

— A mnie, czy pozwolicie mówić?

Wszystko milknie. Wszystkie spojrzenia skierowane są w stronę uskoku. Powoli i z godnością, wsparty na posochu, wysuwa się naprzód Sulejman.

Przystaje na skraju uskoku. Młodzieniec skwapliwie i grzecznie ustępuje mu miejsca. Sulejman przez czas pewien patrzy przed siebie mrużąc powieki z wyrazem troski, jakby się nad czymś namyślał. Jedną ręką trzyma posoch, drugą zaś szpera w kieszeni na piersi.

— Szachsuwarze, — powiada. — ziemia ci się nie pali pod stopami, sąsiedzie?

Martwa cisza panuje dookoła.

— Co?! — pyta Sulejman z naciskiem i prostuje się. Mówi to nie patrząc na starca, lecz tylko skłaniając głowę w jego stronę.

Starcy, wśród nich i najstarszy, wyciągając szyję w zadziwieniu, patrzą na niego.

— Do ciebie mówię Szachsuwarze! — woła Sulejman, stuknąwszy posochem.

— Podziwiam cię, — niechętnie odpowiada mu Szachsuwar, — za kogo ty nas wszystkich masz?

— Uhu! — Sulejman kiwa głową i przymruża oczy. (Wargi mu bledną). — Znaczy, ty, — to mają być wszyscy. Napluj w oczy człowiekowi bez sumienia, on się obetrze i powie, że deszcz pada. Nic go nie wzruszy. Coś ty się dzisiaj uwziął łamać nasze serca? Ja cię nie będę szczędzić, Szachsuwarze. Ja cię złamię.

I, powiedziawszy to, Sulejman, ogarnia wszystkich ostrym spojrzeniem.

— Chodzę sobie, sąsiedzi i myślę, co to się dzieje? — mówi z troską. — Zdychają pszczoły, nie mają siły zbierać miodu. „Wody! Wody“ wołają zasiewy, ziemia rozwarła swoją suchą paszczę, a wy milczycie? Czy nie najwyższa już pora iść po rozum do głowy? Żyliśmy w niezgodzie i z osobna, dłonią ledwie garść swojej ziemi obejmując, dziś pędzimy wspólne życie — i ziemi po wielekroć przybyło. Zuch, Mahomet! Dobry pomysł! Nie na próżno wybraliśmy cię na przewodniczącego. Powiedzcie, sąsiedzi, zebraliśmy się oto z czterech dużych aułów. Wspólną mamy ziemię, wspólną troskę, — czy naprawdę tacyśmy już bezsilni? Sulejman podnosi posoch i głośno pyta:

— Czy wszyscy mnie widzicie?

— Wszyscy! — odpowiada mu chór.

— Czy wszyscy mnie słyszycie?

— Wszyscy! — rozlega się z góry do dołu.

— Doskonale! — mówi Sulejman, opuszcza posoch i rozgląda się.

— Powiedzcie, przyjaciele, czy obfite jest źródło na tej górze?

— Obfite i pełnowodne! — mówią starcy z ożywieniem. Sam wiesz przecież. Bawołu w górę podrzuca. Tam cały potok bije z pod ziemi...

— I, znaczy się, tej wody starczy dla polewania naszych pól?

— Starczy, aż nadto! — krzyczą ludzie.

— Łopaty macie?

— Mamy!

— Oskardy, łomy, topory, deski, drut macie?

— Wszystko mamy — grzmi echo.

— Doskonale, — konkluduje Sulejman z zadowoleniem i, marszcząc się, bo słońce go razi, patrzy w górę. — Ej, szczęście, a dokąd to? — A tam, gdzie przyjaźń! Ej, siło a ty gdzie idziesz? — Tam, gdzie przyjaźń! Ciekawe, cośmy za jedni? Czy damy radę? Ano, ty mi powiedz, Szarabie. — Sulejman zwraca się do stojącego najbliżej przed nim na zboczu człowieka, — powiedz, o czym teraz myślisz? Czarnobrody opasły mężczyzna, do którego skierowane było pytanie, marszczy brwi

— Ja czekam, co ogół postanowi. Jeżeli nie ma wyjścia to i bieg rzeki można oczywiście,

zmienić, dlaczego nie... tylko, że to trudne: boję się, że nie poradzimy...

— A ty? — pyta Sulejman, tknąwszy posochem na chybił-trafił. w inną stronę. — Mów, Murtuzie, co ty sobie myślisz?

Zielonooki, mroczny człowiek, na którego wszyscy teraz patrzą, odpowiada nie od razu.

— Hm, hm.. trzeba spróbować. Jeśli wszyscy naraz dmuchną, to wiatr się zrobi. Spróbujmy...

— Doskonale. — mówi Sulejman i celuje posochem w górę, pod szczyt skały. — Ano, mów ty! Ej. kto tam w białej papasze? Co ty nam powiesz?

— Ja. Safarbek, trzymam twoją stronę, Sulejmanie, — rozlega się z góry donośny głos. Tylko boję się, że sił mamy mało.

— Mało, mało! — zgadzają się sąsiedzi.

— Sił mało? — mówi Sulejman rozsierdzony. — Kto to powiedział? toć to słowa Szachsuwara, a i ten radby już o nich zapomnieć i stoi, spójrzcie tylko, zwieszając nos na kwintę. Ano, przyjrzyjmy się sobie. Słuchajcie wszyscy, jeśli jest tu jaki dawny czerwony partyzant, kołchoznik, członek partii, komsomolec, jednym słowem — sowiecki, czujący jaką taką odpowiedzialność człowiek — niech podniesie rękę. Ano!

I nagle, z szelestem takim, jakby rozwijało się szerokie skrzydło, cała góra od szczytu do podnóża porasta gęstym, kołyszącym się lasem ramion. Niespodzianka zapiera ludziom dech.

— Otóż i my! — powiada Sulejman z hamowaną siłą. — Podnosi rękę i wodzi nią wokoło — Ej. ludzie, spójrzcie na siebie.

Ludzie rozglądają się i twarze ich rozjaśniają się nagle, grzbiety bezwiednie prostują się, w oczach zapala się blask szczerej dumy i siły. Nie opuszczając ramion, z ciekawością patrzą na siebie wzajem, jak gdyby widzieli się poraz pierwszy i dreszcz jakiegoś powstrzymywanego porywu zamiera w ich szeregach.

— Widzieliście? — pyta Sulejman z radością. (Już wiele twarzy lśni uśmiechem). — My — to my! No cóż, Szachsuwarze, — powiada oglądając się. — ty mówiłeś zdaje się, że nie obejdzie się bez siły wielkości tej góry. Czy nasza siła nie równa się tej górze?

— Hurraaa! — grzmi ze wszystkich stron. Ludzie krzyczą od wielkiej i rwącej radości. Z góry do dołu i z dołu do góry przewalają się po wzgórzu, jakby burzliwe fale. Sulejman jest wzruszony. Starcy, stojący obok, prostują się bezwiednie. Ich zastygłe i bolesciwe oblicza tchną teraz uroczystą pewnością, są pełne skupienia, jak podczas wielkiego święta. Zgrzybiały zaś i przygłuchy starosta, siedzący w ciągu całego wiecu w bezruchu na swoim kamieniu, powoli podnosi się bez wszelkiej pomocy, zostawiwszy swoją papachę i kij przy głazie, drobnymi krokami, jak po omacku, podchodzi na skraj uskoku. Staje po prawej ręce Sulejmana i, dysząc ciężko, patrzy spod dłoni w górę, na ludzi, potem, widocznie zadowolony, kiwa głową i mówi z radością:

— Tak, to są ludzie! Jeżeli lud zapragnie, to nawet wojłokowy pal da się wbić w ziemię. Dziękuję Wam, synkowie! Dzięki Bogu, jesteście godni szczęścia!

— Opuśćcie ręce! — krzyczy Sulejman. — Hej, ludzie. A teraz niech podniosą ręce ci, którzy nie są partyzantami, ani członkami kołchozu, ani partii, ani komsomołu — jednym słowem ci, co żyją sobie z osobna, oddzielnie od nas.

Góra zamiera. Przez czas pewien wszystko dookoła — i ludzie i skały, i głazy — wszystko jakby czekało na coś, wstrzymując oddech. Ale oto gdzieś daleko, całkiem z boku, nieśmiało podnosi się jedna jedyna ręka i uwaga wszystkich ogniskuje się na niej.

— A to kto znowu? — pyta Sulejman mrużąc powieki i patrząc z góry na dół. — Ach Szałbuz, to znowu ty. Bogdaj by ci się dom rozwalił!

Grzmiący śmiech wstrząsa górą jak eksplozja. Śmiech, pomnożony przez echo od skał i wąwozów rozlega się na całą okolicę. Ziemia drży, i zdaje się, że cały świat się śmieje.

Jak też ci się żyje? — pyta Sulejman ledwie wstrzymując się od śmiechu. — Za piecem siejesz, siano na dachu kosisz, uparte biedaczysko? Człowieczek, który podniósł rękę, stoi wielce zmieszany i zupełnie stropiony, nie wiedząc jak postąpić: czy opuścić rękę, czy trzymać ją dalej w powietrzu. Zetlały, niegdyś granatowego koloru jego beszmet opasany jest na lędźwiach bardzo starym perskim ręcznikiem. Twarz pomarszczona, bez cienia zarostu.

Struchlały od nagle walącego się nań śmiechu ludzi, ziemi, skał, gór i kamieni, — raptem zadrżawszy, bezradnie ogląda się wokół i, ciągle jeszcze trzymając rękę w górze, opuszcza głowę i płacze.

Zamordowali — powiada — już mnie nie ma. Kuropatwę ze mnie zrobili.

A Sulejman tymczasem, machając obiema rękami, z trudem uspakaja wiecujących i poważniejąc od razu czeka, póki nie zapanuje zupełna cisza. Po jego prawej ręce stoi starosta, na twarzy którego zastygł zdrewniały, niemowlęcy uśmiech, po lewej — stoi młodzieniec, patrzący w górę z zachwytem, jak zaklęty.

— Ej, ludzie! woła nagle Sulejman. — Odpowiedzcie teraz nie mnie, a temu niebu, tej ziemi, czy potrafimy, jeśli zapragniemy, w ciągu 5-ciu dni skierować bieg rzeki Źródlanej w stronę doliny, obrócić go wstecz, zmusić do posłuchu, i napoić rozwartą, chciwą paszczę naszych pól wodą? Odpowiadajcie wszyscy!

I góra odpowiada jednogłośnym, wspólnym westchnieniem:

— Damy radę. Wszystko w naszym ręku.

Tłumaczył
Jerzy Pomianowski

O ZWIĄZKU WALKI MŁODYCH

(dokończenie ze str. 1-ej)

sposób urzeczywistnić ustrój równości i sprawiedliwości społecznej.

Hasła te podjęła nieliczna tylko grupa młodzieży, która zdołała uzupełnić swoją samowiedzę społeczną naukami Marksa. Ta właśnie młodzież spróbuje w latach 1880—1895 wydać pełny polski przekład „Kapitału".

„I właśnie szubienice, na których zawiśli członkowie „Proletariatu" i schodka apuchtinowska przyspieszyły to tworzenie się i krzewienie fermentów opozycyjnych. Czyny te i ludzie wyrastały na miarę bohaterską i przykuwały do siebie imaginację nie tylko młodzieży akademickiej, ale nawet wyrostków"... — pisze Ludwik Krzywicki.

Pokazaliśmy dwa szeregi procesów z końca XIX wieku: jeden — społeczno-ekonomiczny rozwój kapitalizmu w dwu etapach, w drugim: dwa etapy „postępowego" wychowania i samowychowania się młodzieży.

Po co — spyta czytelnik, i w jakim związku z ZWM-em? Na drugie pytanie nieco później, na pierwsze odpowiadamy odrazu.

Rzeczywistością społeczną był kapitalizm, „pożerający" masy ludowe. I na niego reagowały w rezultacie systemy wychowawcze i samowychowawcze młodzieży Ale, co staraliśmy się wykazać — **nieadekwatnie.**

Większość młodzieży studiującej na uniwersytetach i w średnich szkołach rekrutowała się ze środowisk mieszczańsko-ziemiańskich. A Radkowie ze wsi (i w okresie pozytywizmu i następnym, o wzmożonych nastrojach nacjonalistycznych) prześcigali Borowiczów w zaawansowaniu się w jeden czy drugi system fałszywego rozumienia rzeczywistości społeczno-historycznej.

Siły społeczne środowiska ziemiańskiego i mieszczańskiego odprowadzały z powrotem młodzież „wzruszoną społecznie" a przecież niejasno, na pozycje klasowe. O tym napisano już wiele w nowej Polsce. Powstał cały szereg portretów: inteligencji poszlacheckiej (pióra prof. J. Chałasińskiego), ludomańskiej (J. A. Króla) i mieszczańskiej (J. Kotta).

Przypomnieliśmy również istnienie ruchu robotniczego, a to znaczy, że byli starzy działacze, była i młodzież. Wymieniają ją listy ofiar z procesu „Proletariatu", listy ofiar manifestacyj w Zgierzu, Łodzi i Warszawie z roku 1893 i listy ofiar rewolucji 1905 roku.

Z tą młodzieżą pozostawała w ścisłym związku i współpracy część inteligenckiej młodzieży studiującej.

3. KONTROFENSYWA

Historia ruchu socjalistycznego oddała należyte honory robotnikom — bohaterom niezliczonych strajków i lokautów, także i proletariatowi wiejskiemu, walczącemu o zwiększenie zarobków i ordynarii, także i ruchowi ludowemu bijącemu się o prawa polityczne. Nie będziemy jej zatem powtarzać. Spróbujmy raczej odpowiedzieć dlaczego rewolucyjny ruch klasowy robotników został jeszcze przed pierwszą wojną światową w dużym stopniu zahamowany i dlaczego w latach międzywojennych spowiła go podobna do studenckiej, z czasów uniwersyteckich L. Krzywickiego — mgławica?

„Ścisłe połączenie haseł zachowawczych z patriotyzmem — pisał w r. 1913 J. Grabiec — stało się podstawą dzisiejszej **polityki narodowej,** reprezentowanej w Polsce niemal wszędzie przez żywioły należące do klas posiadających... Warstwy posiadające naszego narodu, nie zadawalając się hasłami **ładu i porządku społecznego,** które gdzieindziej reprezentują klasy posiadające, w walce klasowej z masami ludowymi na każdym kroku nadużywają hasła obrony narodowej przed żywiołami przewrotu, kierowanymi obcą i wrogą narodowi polskiemu ręką".

Leży przed nami program Stowarzyszenia Robotników Chrześcijańskich, z roku 1906, prowadzonego przez księdza Godlewskiego. Czytamy tam, że celem tego stowarzyszenia było:

1. Zwalczanie haseł i teoryj niezgodnych tak z duchem chrześcijańskim, jak i narodowym; 2. Zapobieganie i przeciwdziałanie bezrobociu, czyli strajkom narzucanym przez obce żywioły przewrotowe a przynoszącym straty materialne zarówno pracującym, jak i pracodawcom i wnoszącym rozdział do niższych warstw narodu polskiego, który może być silny tylko jednością wszystkich; 3. Zachowanie sprawiedliwości i miłości między pracującym a pracodawcą; 4. Popieranie przemysłu i handlu swojskiego: 5. Szerzenie oświaty w duchu chrześcijańskim i polskim; 6. Praca nad podniesieniem poziomu moralnego, kulturalnego i obyczajowego... (St. Kowalewski — „Historia Związków Zawodowych Robotników Polskich w Królestwie Polskim").

W tego typu stowarzyszeniach — pisze St. Kowalewski „głos decydujący posiadali księża, patronowie stowarzyszeń... Tu uważano, że poziom intelektualny i moralny warstwy robotniczej tyle jeszcze pozostawia do życzenia, że organizowanie związków, w których by robotnicy byli panami u siebie, nie może wydać dodatnich owoców". I dalej: „organizacje chrześcijańskie i polskie, nie uznające, wbrew ideologii socjalistycznej, pojęcia społeczeństwa z ostro zarysowanym podziałem na klasy, starały się przede wszystkim wyrobić w swych członkach zalety moralne, mające wartość bez względu na taką, czy inną pozycję socjalną".

Tak więc do walki z rewolucyjnym obozem socjalistycznym stanął chrześcijański ruch robotniczy, montowany przez księży — patronów i Narodową Demokrację. Przeciw hasłom walki klasowej wysunięto ideały miłości do kapitalisty, a klasową rzeczywistość społeczną usiłowano przesłonić narodowo-religijną wspólnotą, nazywając zwolenników rewolucji społecznej „obcymi żywiołami przewrotu".

Chrześcijańskie związki robotnicze, skwapliwie legalizowane przez rząd carski liczyły w Królestwie (1908) około 50 tys. członków. W zaborze pruskim istniał właściwie tylko jeden związek robotniczy „Związek katolickich towarzystw robotników polskich", skupiający 30 tys. spośród lepiej płatnych robotników przemysłowych. Poznański „Robotnik" (27 tys. prenumeratorów) reprezentujący „proletariat" zaboru pruskiego był skrajnie klerykalnym czasopismem.

Kiedy Dmowski przystąpił do organizowania mieszczańskich drobnokapitalistów—miał już grunt przygotowany. Twórca Obozu Wielkiej Polski nie zawahał się już nazwać rewolucyjnego socjalizmu — syfilisem, przywiezionym ze wschodu. Jedność PPSu nadszarpnął nie tylko chrześcijański ruch robotniczy, ale także socjalizm „patriotyczny" grupy Piłsudskiego, gdzie hasła „obrony narodowej" przesłoniły istotę walki społecznej do której wzywał Ludwik Waryński.

Przygotowane do generalnego starcia z radykalnym ruchem robotniczym, zorganizowane siły społeczne mieszczańsko- i szlachecko-ludowe, wsparte „unarodowioną patriotycznie" grupą socjalistów „legionowych", — zaważyły na polityczno-społecznych losach II Rzeczypospolitej.

W studium politycznym, zatytułowanym „W pierwszą rocznicę przewrotu majowego", ocenia Ignacy Daszyński w następujący sposób sytuację wynikłą z układu sił społecznych w sejmie: „Po kilku miesiącach „rządu uspokojenia" gen. Władysława Sikorskiego, z którym współpracował Marszałek Józef Piłsudski jako szef Sztabu Generalnego, przyszło do rządu złożonego z „Chieny" i z „Piasta". Spółka ta doszła do skutku, po umowie, zawartej na wiosnę 1923 r. w Lanckoronie, w dworze osławionego Hamerlinga... wybranego za pieniądze do Senatu z listy **chłopskiego** stronnictwa — „Piasta"!!... Legendarny Piast w grobie się pewno przewracał z powodu tej niesłychanej kariery patrona rządów „Chieno - Piastowych", lecz p. Witos miał w Sejmie większość i rządził przy pomocy takich ministrów jak pp. Kiernik... Kucharski... Hubert Linde... (później agent niemieckich przemysłowców), Marian Seyda, a po nim Roman Dmowski... Był to rząd **gwałtownego zubożenia kraju,** rząd prowokowania ludzi uczciwych i jawnego triumfu nieprawości publicznej. Sprowokowawszy w dniach listopadowych kolejarzy, walczących o sprawę swej doli, splamił się krwią robotników i żołnierzy przelaną w walce ulicznej w Krakowie, Tarnowie i Borysławiu, by runąć w hańbie w grudniu 1923 roku".

Zatem od początku istnienia II Rzeczypospolitej władzę w państwie przejęły te siły społeczne, które rozbijając jeszcze w latach sprzed I -szej wojny światowej rewolucyjny ruch proletariatu, podtrzymywały aż do klęski wrześniowej ustrój kapitalistyczny.

I nie jest ważne dla sprawy wolności i równości społecznej, że w ciągu 20 lat istnienia „Polski mocarstwowej" zmieniały się rządy, skoro nieprzerwanie podtrzymywały one ustrój pogłębiający nierówności społeczne.

Pozwólmy teraz zabrać głos robotnikom i chłopom przedwrześniowej Polski. Mówi robotnik naftowy: „Kapitalizm głosił i dzisiaj to samo głosi, że jest rzecznikiem kultury i oświaty. A w praktyce coraz większe ograniczenia swobód obywatelskich i obozy koncentracyjne... Chociaż szubienice skrzypią a więzienia i obozy koncentracyjne są przepełnione, wierzę i tę wiarę wpajam w mózgi szarych ludzi, że socjalizm musi zwyciężyć, ale żeby podołać temu ciężkiemu zadaniu musi człowiek **dopełniać swe wiadomości** (prof. Mysłakowski i Gross — „Robotnicy piszą").

A inny robotnik z powiatu jasielskiego, który w całym swym życiu przez jedno półrocze uczęszczał do szkoły: „wszystko się składa na to, że proletariusz musi być durny, inaczej nie byłby proletariuszem. Jeżeli jest robotnikiem, kowalem, robotnikiem rolnym, tym samym musi być biedakiem i to przygłuszonym ciemnotą. Wykształcenie dla innych. Nie dla psa kiełbasa. Oni nauczą się w szkole a ciebie robociarzu będą uczyć przez całe życie, jak masz bryndzę bić. Wszędzie cię będą uczyć na każdym kroku, a już najwięcej z kazalnicy.. Tak wyglądało moje samokształcenie. Wsiąkło. Ale do jasnej cholery pocieszam się tym, że dziecko, które będzie wkrótce, **wychowam inaczej jak mnie wychowano"** („Robotnicy piszą" 1933).

Głos chłopa:... „w dzisiejszej szkole polskiej powinna być wprowadzona do nauki „Historia chłopów" Świętochowskiego, by w szkole uczyć prawdziwej rzeczywistości i prawdziwej historii polskiej" (J. Chałasiński „Młode Pokolenie Chłopów" t. III).

Oto spowiedź robotników i chłopów, wymowniejsza chyba niż „urzędowe" dzieje „szarych ludzi" w okresie międzywojennym. Głosów wołających z dołów społecznych o powszechną dla wszystkich oświatę, o nauczanie istotnych dziejów narodu i o wolność społeczną dla „cierpiącego w wolnej ojczyźnie człowieka", nie podtrzymała młodzież ucząca się w gimnazjach i na uniwersytetach.

Młodzieży mieszczańsko-szlacheckiej wypełniającej w 95 proc. gimnazja i uniwersytety przesłoniła różnice klasowe legenda mocarstwowej Polski, pełniącej funkcję przedmurza chrześcijaństwa pod błękitnym i biało-czerwonym sztandarem. *)

Humanistyczny system wychowania oparty nie o społeczną przecież, ale personalistyczną pedagogikę wychowawczą, usunął z pola widzenia młodzieży na cały międzywojenny okres społeczno - gospodarczą strukturę państwa.

Z wyżyn tak zmontowanego systemu wychowawczego w którym naród występował jako monolit społeczny, nie można było usłyszeć wołania tych, którym dostępny był tylko 1 oddział szkoły powszechnej.

Tak więc pokazaliśmy jak na okres lat międzywojennych wystartowały z dobrze już wcześniej przygotowanych pozycji, te siły społeczne, które broniąc swych klasowych pozycji, rozszerzyły własny system wychowawczy na świat drobnomieszczański a częściowo i chłopsko-robotniczy.

Nie kreśliliśmy historii tych lat, bo i tu — szło o przypomnienie tego przede wszystkim, że wraz z panowaniem klas mieszczańskiej i ziemiańskiej obowiązywało wychowanie podtrzymujące kapitalistyczną strukturę państwa. Nie było to przecież nieświadome podtrzymywanie ustroju, związane z brakiem wiedzy o rzeczywistych dziejach narodu, jakie występowało kiedyś u Borowiczów i Grodzickich, ale właśnie celowe fałszowanie rzeczywistości narodowej, przeciw rosnącej w dołach społecznych samowiedzy robotników i chłopów, w sytuacji niesłychanego napięcia, kiedy to żądając rozpisania nowych wyborów pisał w liście otwartym do prezydenta Mościckiego — Bolesław Limanowski w 1929 roku:

„Oto masy pracujące żyją we wciąż wzmagającym się wzburzeniu. Masy robotnicze i chłopskie domagają się jednolitego dla wszystkich prawa i obrony swego bytu a gdy przemocą odbiera się im prawa, głos wolny i możność walki o swoje dobro, wówczas nadchodzi moment buntu i fala gniewu mas wstrząsa posadami państwa. Ten moment nadchodzi, zbliża się z każdym dniem. Kto odpowie za to co może nastąpić i prędzej czy później nastąpić musi? Wielu odpowie za cały system rządzenia, ale przede wszystkim pan pierwszy odpowie, Panie Prezydencie"...

Było to świadome działanie w sytuacji, kiedy jak czytamy w książce Adama Strapińskiego, członka Instytutu „Naukowego" Badania Komunizmu — „Wywrotowe partie polityczne" (Warszawa 1933) w marcu 1928 roku na listy „przybudówek partii komunistycznych" padło 930 tys. głosów (licząc rodziny głosujących — około 4 milionów ludzi) kiedy jak podaje ten sam „Instytut Naukowy" w ciągu 1927 roku aresztowano 5 tys., a w 1932 roku już blisko 16 tys. (15.700) „wywrotowców".

Zatem na peryferiach oficjalnego życia międzywojennej Polski wypadło nam szukać sporej, bo liczącej tysiące — gromady lewicy robotniczej i chłopskiej, „topionej" po więzieniach.

4. „W OJCZYŹNIE CHŁOPÓW I ROBOTNIKÓW"

Staraliśmy się pokazać od jak dawna wskazywała rzeczywistość na konieczność socjalistycznego rozwiązania problemu społeczno-gospodarczego kapitalizmu. Próbowaliśmy także uwydatnić działanie tych sił społecznych, które u schyłku XIX wieku przystąpiły do generalnej kontrofensywy przeciw ruchowi lewicy i utrzymały liberalno - kapitalistyczny ustrój w Polsce, aż do drugiej wojny światowej. Siły te uniemożliwiły sformowanie się potężnego i jednolitego ruchu młodzieży.

Jakiż to ma związek z ZWM-em a właściwie dziś już z całym prawie ruchem Młodzieżowym w Polsce?

„Reforma szkolna ma służyć europeizacji Polski w duchu nowej, socjalistycznej idei Europy, a nie w duchu przedwojennego mitu Europy liberalno - kapitalistycznej, mitu maskującego imperializm przodujących państw kapitalistycznych" — pisze prof. J. Chałasiński („Myśl Współczesna" nr. 11, „Współczesne reformy szkolne i idea socjalizmu"). Oto opinia przedstawiciela świata nauki, który stwierdzając, że „losy Polski są związane z losami socjalizmu" postuluje wychowanie socjalistyczne młodzieży w ramach nowego ustroju.

Właśnie Związek Walki Młodych wszedł od razu w nowej Polsce na „polską drogę" do socjalizmu, pociągając za sobą resztę organizacji młodzieżowych.

Idą one nareszcie razem, do nowej ojczyzny, **„ojczyzny chłopów i robotników".**

Wiesław Jaźdżyński

*) Patrz: W. Jaźdżyński: „Gaudeamus" (o tradycjach wychowawczych w gimnazjach i na uniwersytetach), „Wieś" Nr. 42 (121).

DWA GŁOSY O

Jerzy Starnawski

Sumienność etnograficzna

W jednej ze swych pierwszych powieści pt. „Eli Makower" — osnutej nie na tle życia chaty wiejskiej lecz na tle dobrej i złej symbiozy szlachty z żydami małomiasteczkowymi — przemyca Orzeszkowa, w sposób odpowiadający modnej w okresie pozytywizmu powieści z tezą, postulat, aby wychowanie sfer „wyższych" nie ograniczało się do muzyki i konwersacji francuskiej, aby szlachta zapoznała się z otoczeniem: z chatą wiejską. „Niziny" „Dziurdziowie", „Cham" i „W zimowy wieczór" — to szereg żywych i wszystkim znanych dowodów, iż konsekwentnie wypełniała Orzeszkowa ten postulat w swej dalszej twórczości.

Historycy literatury, zajmujący się twórczością Orzeszkowej — nieliczni dotąd coprawda — często wskazują na wartości leżące w wiernym odtworzeniu kultury środowiska w powieściach chłopskich Orzeszkowej (A. Drogoszewski), zwracają uwagę na materiał etnograficzny w nich zawarty (Chmielowski), dotąd jednak nikt nie opracował tego zagadnienia dokładnie. Obaj krytycy, którzy dotąd najdokładniej zajmowali się twórczością Orzeszkowej, uważają „Dziurdziów" za najważniejszy z jej utworów osnutych na tle życia ludu.

Akcja powieści rozgrywa się we wsi, której autorka dała miano „Suchej Doliny". Dokładnie wieś ową zlokalizować jest trudno.

Z opisu wsi danego przez autorkę wiemy, że jako typ wsi była Sucha Dolina ulicówką „długim szeregiem czterdziestu może chat i ogrodów dość malowniczo rozciągniętych pośród pól zlekka falujących i zdobiących je osinowych i brzozowych gajów". Z literatury etnograficznej wiemy, że na Litwie i Białorusi jest to typ wsi dominujący (K. Moszyński — Kultura ludowa Słowian: „Na znacznych obszarach Białorusi i Polesia... panuje ulicówka" — str. 559). Autorka charakteryzuje Suchą Dolinę jako wieś na ogół zamożną. „Większość chat miała pozór dostatni; były wprawdzie pomiędzy nimi niziuchne, ubożuchne i nadpróchniałe, ale nie brakło i takich, które świeciły białymi kominami, sporymi oknami i porządnymi ganeczkami opartymi na słupkach i zaopatrzonymi w wąskie ławeczki do siedzenia".

Na umeblowanie tejże chaty Piotra Dziurdzi składały się: ogromny piec do gotowania strawy i pieczenia chleba, ławy, stoły, krosna tkackie, gospodarskie statki drewniane — nic więcej.

W zamożnej chacie Michała i Pietrusi był „samowar i łyżki błyszczące i jeden i drugi biały talerz". Wiemy dalej, że w chacie Pietrusi oprócz ław i stołów znajdowały się nawet „trzy krzesła z drewnianymi poręczami". „U sporych okien zieleniało w wazonach kilka niskich roślin, na małej szafce z dwiema szybkami połyskiwał blaszany samowar. Wymysły te przywiózł z sobą kowalczuk z szerokiego świata, a może też zapoznała się z nimi Pietrusia w szlacheckim dworku, w którym za dziewkę folwarczną służyła". Podobnie prymitywnie, jak urządzenie wnętrza, przedstawia się oświetlenie chat. Autorka pisze, że nawet w chacie Pietrusi „nie dosięgała wymyślność ani świec, ani lampy". Izbę oświetlało „pomiędzy cegły wetknięte łuczywo, paląc się czerwonawym i dymnym płomieniem".

Warsztatem pracy wieśniaka jest rola i sad. Z powieści Orzeszkowej dowiadujemy się, jakie rośliny uprawiali mieszkańcy Suchej Doliny. Orzeszkowa podaje tu opis pól i ogrodów Suchej Doliny: „...falujące i gajami zwieńczone — miały pozór żyzności i niezłej uprawy; za nimi zieleniło się trochę łąk i dobrych pastwisk; w ogrodach gęste konopie stały gotowe do zdjęcia, okwitłe kartofle wyglądały obiecująco, bujne głowy kapusty dojrzewały, gęsto sadzone drzewa wiśniowe dawać musiały obfite plony owoców"; „...w ogrodzie gęsty gaik drzew wiśniowych, zmieszanych z dzikimi gruszami, których owoc dostarczał na zimę wybornych gniłek". Wiemy dalej, że zabudowania gospodarskie stanowią: „świronek, stodoły i obory". O inwentarzu żywym i martwym informują następujące zdania powieści: „porykiwały krowy, odzywały się owce... stały nie wyprzężone pługi i brony".

Nie potwierdzoną, a nawet zaprzeczoną przez Łętowskiego — piszącego w 7 lat po Orzeszkowej — inowacją jest wprowadzenie w powieści pługów.

Zamożne gospodarstwo Piotra Dziurdzi liczyło: „cztery krowy, dwa konie, z których jedna klaczka co roku wydająca źrebię, sześć owiec, wieprze, kury, gołębie, gnieżdżące się na dachu".

Oprócz pługów, bron i warsztatów tkackich wymienia autorka i inne narzędzia pracy mieszkańców Suchej Doliny, jak: siekiery, piły, cep. Podstawowymi czynnościami mężczyzn było: „orać, kosić, młócić", gdy tymczasem kobiety miały „krowy doić, szmaty prać, świnie karmić, chleb miesić". Zajmowały się też „pieleniem buraków i kapusty".

Znajdujemy w „Dziurdziach" opis kopania ziemniaków. Odbywa się ono w sposób następujący: mężczyzna prowadzi pług, który wyorywa ziemniaki, a niewiasta podążając za nim zbiera je do fartucha, a następnie zsypuje do worka.

Dowiadujemy się, że mieszkańcy Suchej Doliny byli dobrymi gospodarzami: nie było przednówka u Piotra Dziurdzi. W spichrzu jego, czyli „świronku" — „w największy choćby nieurodzaj zboża nie brakło, bo z roku na rok zostawał zawsze jaki taki zapas i zbytek lat jednych łatał braki drugich". Pod tym względem Sucha Dolina wykazuje dostojne podobieństwo z Soplicowem, gdzie także „dostatek mieszka i porządek".

Ubiór wieśniaka z Suchej Doliny jest prostym, samorodnym wytworem przemysłu ludowego. Szare płótno z lnu, który rodzi ziemia Suchej Doliny a pracowite ręce wieśniaczek tkają w każdej chacie — to jego główna podstawa. Chłopi „przyodziani byli w porządne samodziałowe kapoty i grube ale dostatnie, do kolan sięgające obuwie". Wyraz „samodziałowe kapoty" powtarza się często. Piotr Dziurdzia miał „czapkę futrem baranim obszytą". Pietrusia chodziła „w krótkiej siermiędze i sinej spódnicy, w płytkich trzewikach i czerwonej chustce na głowie".

Nie tylko pierwiastki materialnej kultury ludowej znajdują wyraz w powieści Orzeszkowej. Obficie czerpie autorka z wierzeń, zabobonów, zwyczajów i obyczajów ludu: liczne wzmianki poświęca lecznictwu ludowemu, przesądom, przysłowiom i wierzeniom. Te właśnie przesądy i wierzenia dostarczają głównego wątku narracyjnego.

O lecznictwie ludowym mieszkańców Suchej Doliny dowiadujemy się, iż podstawowymi jego środkami były zioła zbierane z łąk, pól i lasów.

Z zastosowaniem ziół w medycynie ludowej niewątpliwie każdy zetknął się potrosze. W naszej literaturze etnograficznej dokładnie omawia to zagadnienie Bronisław Gustawicz w artykule: „O korzeniach czarodziejskich w lecznictwie ludowym u nas i indziej"

Obok ziół stosowane są i inne środki na przesądach i zabobonach oparte. „Młodej Łabudowej doradziła Pietrusia, gdy sroga febra nią trzęsła, spojrzeć na kurczę lub kaczę wylęgłe pierwszą wiosną — i w tejże chwili co prędzej węzeł na fartuchu lub chuście zawiązać. — Odjęło jak ręką". „Dzieci, które dostawały konwulsji, kładła na desce pośród koła zarysowanego kredą, a te, które koklusz męczył, poiła sokiem rzepowym podawanym w samej rzepie, w formie kielicha wydrążonej".

Do najważniejszych zabobonów i przesądów wśród mieszkańców Suchej Doliny panujących należy wiara w możność wykrycia człowieka przy pomocy pewnych cudownych środków. Dwukrotnie w powieści znalazło to swój wyraz: w wykryciu złodzieja i w wykryciu czarownicy.

Gdy Piotr Dziurdzia zapytał Aksenę o sposób odkrycia złodzieja, podała mu następujące rady: "Weźcie sito, wbijcie w nie nożyce i niech dwoje ludzi położy palec pod ucho nożyc, a drugie ludzie niech mówią różne nazwiska, jakie sobie tylko wspomną. Na czyje nazwisko sito zakręci się, ten złodziej... I to jest taka pewna prawda, że ja nieraz, ale sto razy na własne oczy widziała... Można na sito złodzieja wywróżyć, można i na Ewanelię. To już jak gdzie... w jednych stronach na sito wróży się, w innych na Ewanelię..."

Drugim — o wiele ważniejszym i o wiele bardziej wstrząsającym i zadziwiającym motywem, motywem przenikającym niemal wszystkie karty powieści-tragedii jest motyw wykrywania wiedźmy czyli czarownicy. Czarownicom wiele uwagi poświęcają gadki ludowe z ust do ust od wieków powtarzane. Wiele uwagi zagadnieniom czarów i czarownic poświęca literatura etnograficzna polska i obca.

Ryszard Berwiński, poeta i etnograf poznański z epoki romantyzmu, w dziele p. t. „Studia o literaturze ludowej" pisze: „Czarownice nie są to narodowe postaci, ale... kosmopolitki, nie w tym lub owym kraju urodzone i wychowane, ale spłodzone na drodze rozstajnej, pomiędzy światem doczesnym a wiecznym, z ojca — wojującego Kościoła i matki — ciemnoty": (Słowa Berwińskiego przytaczam za artykułem Jana Karłowicza p. t. „Czary i czarownice w Polsce"), (Wisła, t. I. 1887). Na innym miejscu tejże pracy powołuje się Karłowicz na dzieło niemieckiego etnografa Toppena: „Aberglauben aus Mazuren" — Gdańsk 1867, które w 12 lat później ukazało się w polskim przekładzie w 13-tym tomie „Wisły". Czytamy w dziele Toppena o istnieniu jednej lub dwu czarownic w każdej wsi. Lecz rozprawa Karłowicza ze wszechmiar godna uwagi i zainteresowania powołuje się na inne dzieło: jest to siedemnastowieczna „Czarownica powołana" Rosenblatta (1639), wskazująca na dawne istnienie czarownic. W dziele tym wyczytał Karłowicz: „tymi czasy nasza Polszcza niezwyczajnie zagęściła się czarownicami lubo prawdziwymi lubo mniemanymi, tak, iż na posiedzeniach i schadzkach o żadnej materii więcej nie usłyszysz, jako o czarownicach". Karłowicz stwierdza, że wierzenie o czarach i czarownicach obejmuje całą Polskę, sięga i poza nią, uważa jednak, że „na Litwie i wśród Białorusinów wiara (ta)... jest powszechniejsza i że czarownic spotyka się tam więcej. Oprócz zwykłej nazwy „czarownica" słyszy się tam czasem „wiedźma".

Wskazują źródła etnograficzne, iż w każdej wsi bywa jedna lub dwie czarownice. W suchej Dolinie za taką czarownicę uchodziła Pietrusia-kowalicha. „Dawno już mieszkańcy Suchej Doliny podejrzewali Pietrusię, wnuczkę ślepej Akseny, że posiadała wiadomości i moce, jakich posiadać nie można bez stosunków z nieczystą siłą".

Podejrzewano też, iż to ona spowodowała chorobę Klemensa Dziurdzi, któremu rzekomo „paskudnego ziela nasypała" Zwrotnym punktem akcji powieści, brzemiennym w tragiczne następstwa dla osób w powieści występujących, tak dla Dziurdziów jak dla Pietrusi, jest dzień, kiedy w gospodarstwie Piotra Dziurdzi zabrakło mleka u krów i gospodarz z całą rodziną rozpoczął poszukiwanie wiedźmy sprawczyni tej utraty.

Aby wykryć czarownicę, Dziurdziowie rozpalili na rozstajnych drogach ognisko z drzewa osinowego, wierząc, iż „wiedźma nie przyjdzie na inne... tylko na osinowe": „taja, co nam takuju kryudu zrobiła, przyjdzie na ogień zapalony z tego osinowego drzewa, na którym powiesił się Judasz, psia jego dusza, co w żydowskie ręce wydał Pana Naszego Jezusa Chrystusa". Gdy nadeszła tam wreszcie Pietrusia, okrzyknięto ją wiedźmą. Piotr Dziurdzia, głowa rodziny, stwierdził dostojnie: „Ot i okazał nam Pan Bóg Wszechmocny krzywdzicielkę naszą".

Motyw odkrycia wiedźmy przez rozpalenie ognia z osinowego drzewa na rozstajnych drogach nie jest potwierdzony przez źródła etnograficzne znane autorowi pracy niniejszej. Rozprawy podają szereg innych sposobów. Oto Paweł Plichta w IX tomie Wisły ogłasza wybrane ustępy z pracy rękopiśmiennej Zofii Staniszewskiej o lecznictwie ludowym w Gródku Nadbużnym, pow. Hrubieszowski: „Na odbieranie mleka gospodynie starają się radzić". Biorą przeto „cedzidło płócienne do cedzenia mleka, trzy razy po trzy kołek z tarniny, tyleż igieł i gotują to razem w glinianym garnuszku. Po niedługiej chwili ten, kto coś porobił krowie, przyjdzie do chaty". Szukiewicz (op. cit.) podaje, iż w Wileńszczyźnie, chcąc złowić czarownicę otrząsa się rosę po miedzach. Czarownica wszedłszy na taką miedzę, ma według wierzeń ludu upaść i nie wstać aż kto nadejdzie. Fedorowski (op. cit. A II cz. I Kraków 1902) podaje, iż we wsi Kuklicze (okolice Łysowa) „chłopu wiedźma mleko odebrała. Zawiózł mleko pod krzyż na rozstajne drogi i tam począł cedzić. Wiedźma zjawiła się i przyznała". Ta wersja bliższa już jest Dziurdziom, mówi bowiem o rozstajnych drogach pod krzyżem.

Powszechnie i coraz mocniej zaczęto uważać Pietrusię za wiedźmę, aż dnia pewnego czterej Dziurdziowie — pijani wówczas — kijami połamali Pietrusi żebra, zostawiając ofiarę „białemu śniegowi na podściół, czarnym krukom na strawę", a w kilka tygodni później sami karetką więzienną podążyli na dożywotnie ciężkie roboty na Syberię.

Jak powszechna jest wiara ludowa w czary i czarownice, w ich praktyki, ku czynieniu zła ludziom zmierzające — tak często powtarzają się zabójstwa wiedźm. Karłowicz (op. cit.) opisując dokładnie jeden z takich wypadków, który zdarzył się we wsi Chałupy w powiecie Wejherowskim w roku 1836, stwierdza, że więcej takich wypadków zdarzyło się w Prusach Wschodnich i na Pomorzu, czyli w kraju, którego dotychczasowi władcy tak wiele mówią o swym przodownictwie w kulturze. Sięgając zaś do aktów sądowych dawnej Rzplitej wydobywa się na światło dzienne stare procesy o czary, którym początek dała sprawa Doroty Gnieczkowej, spalonej żywcem w Poznaniu w roku 1544 za mniemane czary. O tejże samej Gnieczkowej pisze Berwiński w rozprawie „Studia o gusłach, czarach, zabobonach i przesądach ludowych" (Poznań 1862). Od tej pory każde 10-lecie znaczy się kilkoma podobnymi sprawami w różnych dzielnicach Polski. Czarownice z reguły były karane śmiercią. Wśród owych okropności jako humorystyczne intermezzo cytuje Karłowicz dekret z roku 1706 wydany w Szczekocinach w sprawie dwu kobiet posądzonych o czary. Wyrok sądu za „kłótnie wielkie za niepotrzebne swary" — w sprawie zaś czarów wyrokował iż „przez świadectwo nie masz nic pewnego, ale tylko baśnie niepotrzebne, które aby małżonkowie hamowali... sąd dekretem nakazuje".

Przytaczając to czyni Karłowicz uwagę: „Gdyby wszystkie sądy ówczesne tak trzeźwo jak ten na rzecz się zapatrywały, sprawy o czary umilkłyby, a miecz katowski nie byłby czynny".

Fedorowski notuje na Rusi litewskiej szereg zabójstw wiedźm, wymieniając wsie: Kusińce i Wiszniewice (okolica Szydłowic), Kuklicze (okolica Łysowa) i inne.

O ile w dziedzinie kultury materialnej i duchowej znajduje się w „Dziurdziach" bogactwo materiału, o tyle żywioł społeczny dość ubogo się przedstawia. Autorka kreśli wieś zapadłą, odciętą od świata. Z czynników kultury społecznej mamy tylko wiadomość, iż Piotr Dziurdzia „piastował w swej wiosce ważny w społecznym życiu chłopów urząd starosty".

Drobne wzmianki o karczmie, jarmarku i odpuście dopełniają obrazu życia społecznego mieszkańców Suchej Doliny.

Reasumując zebrany materiał stwierdzić wypada, że Orzeszkowa starała się zebrać i wiernie odtworzyć w swej powieści żywioł etnograficzny. Drobne usterki, wprowadzenie odmian i modyfikacji, świadome lub nieświadome, celowe lub nie celowe — darować możemy wobec wielu obrazów naprawdę świetnych, mnóstwa reminiscencyj wiernych i dokładnych, zwłaszcza w dziedzinie kultury duchowej. W dziedzinie kultury materialnej są o wiele większe luki i niedociągnięcia. Epokowe znaczenie powieści polega na tym, iż jest ona w literaturze polskiej jedną z pierwszych powieści chłopskich napisanych po uwłaszczeniu włościan. Stylizowała chłopów epoka pseudoklasyczna. Z realizmem usiłował przedstawić chłopa wołyńskiego Kraszewski, który jednak widział jeszcze chłopa pańszczyźnianego. Orzeszkowa pierwsza dała literaturze polskiej chłopa pracującego już na własnym gruncie. Twórczość jej antycypowała wielką epopeę chłopską Reymonta.

Jan Maria Gisges

GMINNA BIBLIOTEKA

I.

Na zaśnieżonej szybie napisać wiersz
nie trudno, gdy wiatr potrząsa zawieją,
że na niwie
kładzie się bezmiernie biały czas zimy.
Trudniej słowem opaść jak śniegiem
na miedze, sady, chaty
i wyrosnąć drzewem — wiosną —
trudniej przed oczy stanąć zmęczone czarną literą,
gdy knot lampy filuje i kopci —
trudniej pamięci wchłonąć czarne bruzdy wierszy
wierniej niż ziemia,
wierniej niż ogień.
Na zaśnieżonej szybie napisać wiersz
nie trudno, gdy głosy obok symfonię pracy
kołyszą.

II.

W Nagłowickim parku
dłoń o dłoń oparta —
twarze chłopów przyklejone do szyb —
różowe kwiaty jak papieroplastyka nieb
są z zagród i miedz.
Gońcie swą tęsknotę w zadymce wieczoru,
a na białych kartach znajdziecie nowy czas!

Niosę wam burzę i burzy kobaltowe kolory,
z której treść spływa jak deszcz
i polski wiersz — „wszak Polacy nie gęsi..."
Częściej, coraz częściej
modlitwę przemiany odmawiasz w swoich oczach
i w źrenicy sąsiada.
Tomy na półkach, zawieja nad polami —
a ty — klęknij! Grzbiety nowych książek
są jak świętość rzeźbiona czcionkami.

E. ORZESZKOWEJ

Maria Żmigrodzka

Etnografizm a realizm



Eliza Orzeszkowa portret A. Kamińskiego

NIECO POLEMIKI

Uwaga autora artykułu o żywiole etnograficznym w „Dziurdziach"ześrodkowana została na zagadnieniu: — na ile wiernie i ze znajomością rzeczy odmalowane zostały w powieści Orzeszkowej wszystkie realia życia białoruskiej wsi 80-tych lat XIX stulecia.

Praca żmudna i wymagająca zarówno orientacji w problematyce badań etnograficznych jak i dużego oczytania posłużyła autorowi do ustalenia niezbicie faktu: — Eliza Orzeszkowa znała dobrze lud białoruski okolic Grodna i w „Dziurdziach" dała wierny i dość dokładny obraz jego życia.

Jest to jedyna bezsporna teza, jedyna pozytywna wartość sumiennej i erudycyjnej rozprawki. Nawet jednak i ona nie da się bez przekroczenia ciasnych ram metodyki autora przełożyć na język konkretnych form i chwytów literackich, ani wyrazić w kategoriach żadnego systemu ideologicznego. Nie może więc posłużyć do wyznaczenia „Dziurdziom" właściwego miejsca w ciągu rozwojowym pozytywistycznej powieści społecznej, czy dziewiętnastowiecznej „historii idei". Gorzej nawet — teza nie wykorzystana dla żadnych zabiegów interpretacyjnych, nawet w obrębie samego utworu, wyodrębniona i podkreślona jako samodzielny, dostatecznie ważny wynik pracy naukowej, wykrzywia proporcje właściwego widzenia utworu literackiego i sprawia, że jak w wypadku artykułu o „Dziurdziach" wszelkie inne wnioski i uogólnienia muszą być z konieczności fałszywe, lub nieprzydatne do dalszych rozważań.

Czym wytłumaczyć tę szkodliwą autonomię zainteresowań etnograficznych u historyka literatury, to przecenianie ważności ustalenia faktu etnograficznej dokładności utworu literackiego?

Przede wszystkim jest to skutkiem metody badawczej użytej przez autora — można ją w najogólniejszych zarysach podciągnąć pod praktykę metody **filologicznej.** Sędziwa ta metoda, wykształcona przez uczonych szkoły aleksandryjskiej — zbieraczy i komentatorów starych tekstów — stała się dziś podstawą każdej naukowej pracy historycznej. Biada jednak jeśli badacz ograniczy się do niej, jak to miało miejsce u kolebki dzisiejszej humanistyki. Troska o właściwe ustalenie tekstu i poprawną jego interpretację, ocena dokładności literackich realiów — (stąd np. dla J. Starnawskiego ważnym i istotnym jest zagadnienie czy istniała i gdzie była położona Sucha Dolina) — wszystkie te czynności wstępne, o ile nie wyznaczy im się właściwego miejsca w hierarchii problemów badawczych, mogą zniekształcić wyniki pracy.

Stanowisko J. Starnawskiego zdradza, że jego rozumienie sensu tendencji „zbliżenia do ludu", którą uważa za przyczynę sprawczą istnienia zagadnień chłopskich w twórczości Orzeszkowej, zbliża się do XIX-wiecznych tendencji ludomańskich, wyrażających się w zachłystywaniu się barwnością wsi — jej plemienną krzepą i piastowską godnością.

Konsekwencje przerostu zainteresowań żywiołem etnograficznym w rozprawce są znamienne.

Przede wszystkim w ramach takiej koncepcji recepta na powieść z życia ludu pokrywa się w zasadzie z poetyką naturalizmu, lub co najwyżej „małego realizmu". O realiźmie powieści decydować ma dokładność i wierność realiów powieściowych. Stąd J. Starnawski uważa, że można Orzeszkowej darować wprowadzenie w powieść nieznanego chłopom białoruskim pługa, oraz inne „drobne usterki.. wobec wielu obrazów naprawdę świetnych, reminiscencji wiernych i dokładnych zwłaszcza w dziedzinie kultury duchowej". Słowem, wypracowanie na dobrze z plusem, czy jednak celem jego było istotnie tylko odmalowanie siermięg i „świronków"?

Sprawa „Dziurdziów" nie jest prosta, a ujęcie J. Starnawskiego gmatwa ją znakomicie.

Prawda, że żywioł etnograficzny jest ważnym elementem powieści. Prawda, że Orzeszkowa była współpracowniczką „Wisły", że gromadziła z zapałem zielniki oraz dane do ustalenia ludowej nomenklatury posiadanych okazów roślin, prawda, że korespondentów i przyjaciół, — każdego kto chciał i nie chciał zasypywała suszonym „kwieciem nadniemeńskim". Należy być jednak bardzo ostrożnym przy wysuwaniu na pierwszy plan tego ludomańskiego ludoznawstwa przy ocenie powieści chłopskich Orzeszkowej, — w każdym zaś razie należy jasno rozumieć jego sens. Nie wolno też zapominać o Orzeszkowej — wielkiej realistce.

„WIELKI" CZY „MAŁY" REALIZM

Pełne wydanie zbiorowe wszystkich dzieł Orzeszkowej, na które nie możemy się dotąd zdobyć mogłoby jako całość zostać objęte tytułem jednego ze zbiorów jej nowel: „Z różnych sfer". Literacka spuścizna Orzeszkowej to zamierzony i konsekwentnie przeprowadzony przekrój przez wszystkie środowiska i grupy dziewiętnastowiecznego społeczeństwa polskiego. Pisze o tym do Karłowicza z okazji „Dziurdziów": „Wyznaje Szanownemu Panu, że doświadczam pewnej, dość żywej rozkoszy przebiegając z kolei myślą i piórem wszystkie warstwy społeczeństwa naszego, zaczynając od tej, którą zapełniają Pompalińscy, przechodząc przez mieszczaństwo, żydowstwo, klasą urzędniczą, aż do chłopstwa. Jeszcze mi pozostaje szlachta zagrodowa, z którą w Miniewiczach zetknęłam się z bliska. Roboty takie są niezmiernie proste i poziome, ale zadawalniają ciekawość umysłową, która do każdego zakątka budowy społecznej oko i umysł pociąga".

Orzeszkowa ma dużą zdolność socjologicznego widzenia życia społecznego — w chaosie zjawisk życiowych znakomicie dostrzega zręby i wiązania „budowy społecznej" i mechanizm rządzący życiem gromadnym.

„Dziurdziowie" są doskonałym przykładem powieści środowiskowej, w której, mimo tradycyjnego schematu budowy akcji, opartej na konfliktach pozornie osobistych, na pierwszy plan wysuwa się gromada w swym ustroju i działaniu oraz zagadnienie „strasznego gniewu ludzkiego", niszczącego człowieka usuniętego poza nawias życia swej grupy.

Postacie bohaterów ujęte są również w kategorie socjologiczne, jako emanacje pewnych pozycji społecznych, celowo nieco schematyzowane dla podkreślenia ich typowości.

„Były to trzy Dziurdziowe, żony Piotra, Stepana i Szymona Dziurdziów. Były to także trzy zupełnie różne ze sobą typy chłopek i trzy wyraźnie różne dole kobiece"... — oto wstęp poprzedzający opis postaci bogaczki, gospodyni średniozamożnej i wiejskiej nędzarki.

Doskonale zwarta i skondensowana akcja „Dziurdziów" posiada trzy dość szeroko rozbudowane momenty epizodyczne, które możnaby usunąć bez większej szkody dla całości — jest to narada w chacie starosty, zebranie w karczmie z okazji planów procesu i wreszcie zabawa w karczmie po jarmarku. Sceny te służą wyraźnie jedynie pogłębieniu charakterystyki gromady, jej wewnętrznego zróżnicowania i hierarchii, podstaw krystalizowania się ośrodka kierowniczego, mechanizmu jego działania itp.

Te fragmentaryczne zresztą przykłady rzucają dość wyraźne światło na charakter powieści Orzeszkowej i na ich tle może dziwić teza J. Starnawskiego o tym, że w powieści „żywioł społeczny dość ubogo się przedstawia" w porównaniu z kulturą „materialną" i kulturą „duchową". Jest to jednak zrozumiałe w pracy badacza operującego metodą filologiczną. „Żywioł społeczny" przedstawiać się będzie bogato dla J. Starnawskiego zapewne wtedy, gdy autorka przedstawi dokładnie rosyjską machinę administracyjną na szczeblu Suchej Doliny, co da możność zestawienia tego opisu z odnośnymi ukazami carskimi.

Socjologiczna dociekliwość i determinizm przytywistyczny, z którego tak dumna jest autorka „Dziurdziów", nie są jednak jeszcze konstytutywnymi cechami „wielkiego realizmu". „Socjologiczna konstrukcja losów jednostki", że użyję sloganu współczesnych szermierzy realizmu, musi być oparta o jakiś splot konkretnych konfliktów społecznych, podporządkowana właściwej interpretacji mechanizmu życia społecznego. Tu dopiero zaczyna się właściwe zagadnienie „Dziurdziów": „socjologiczna konstrukcja losów jednostki" opiera się o **ścianę mgły.** Na tej wsi, w kilkanaście lat po uwłaszczeniu, na pierwszy rzut oka wszystko zdaje się iść jak najlepiej. Jeśli domyślamy się jakichś konfliktów, to zostały one złagodzone lub zamazane: istnieje w sąsiedztwie folwark — nawet Pietrusia „horuje" na nim sześć lat czekając na Michałka, ale w życiu wsi zdaje się on nie istnieć — jedyny i to domniemany ślad jego oddziaływań, to „kresła" w chacie kowala.

Istnieje biedota — zapijaczony, głupkowaty Szymon Dziurdzia, wiejski złodziej Jakub Szyszko, ale przyczyny ich nędzy zostały znów zamazane, — może wódka, może gorszy przydział gruntów, może liczna rodzina. Istnieją jakieś sprawy sporne — Sucha Dolina chce się procesować o jakąś nieprawnie zagarniętą łąkę — zwykły przedmiot nagminnych procesów między dworem a wsią, skutkiem niepełnego uregulowania spornych spraw w okresie uwłaszczenia. Przeciwnik chłopów w tym procesie jest jednak osobistością tajemniczą — mówi się o nim jako o „dotychczasowym posiadączu".

Na marginesie akcji odnaleźć możemy echa zatargów między wsią a dworem o lasy. „Nie dla jednego Pan Bóg las zasiał, a dla wszystkich zasiał..." dowodzi chłop skazany na „sztraf" za kradzież drzewa w pańskim lesie. Szymon Dziurdzia nie może pokryć swych długów sprzedając część ziemi bo „od rządu nie wykupiona". (Z tytułu odszkodowań dla szlachty, wnoszonych w formie wykupu za robociznę, chłopi tzw. gubernii zachodnich obciążeni zostali spłatami pożyczek udzielanych na wykup przez rząd rosyjski — W. Kula „Historia gospodarcza Polski").

Co jest przyczyną, że te ułamkowe dane zostały jeszcze zamazane i są tak trudne do wydobycia? Dlaczego mniej uważnemu czytelnikowi rzuci się w oczy przede wszystkim ogólny opis Suchej Doliny — „wsi szczęśliwej" w której większość chat miała „pozór dostatni", a grunta „pozór żyzności i niezłej uprawy?". Wieś tę zamieszkują wg Orzeszkowej „...rolnicy, którym wiatry boże niosą rześwość i zdrowie.... posiadacze, którym ziemia własna rodzi bujne kłosy..."

Dlaczego opis etnograficzny rzuca się w oczy dezorientując czytelnika zaniedbującego wykrycia sensu literackich szyfrów?...

U ŹRÓDEŁ LUDOMAŃSKIEGO SOLIDARYZMU

W latach 1857—58 rząd rosyjski zlecił opracowanie projektu reformy położenia włościan tzw. Komitetom do spraw włościańskich, wyłonionym przez sfery ziemiańskie. Orzeszkowa pisze o tych czasach w liście do dr Baranowskiego w r. 1899, z okazji książki W. Przyborowskiego:

„Kiedy to się działo miałam lat 16 i byłam już mężatką w samym ognisku szlachty obradującej i we wszystkim biorącej udział. Ten Orzeszko, tak często w książce wspominany, był naszym bratem stryjecznym, jako marszałek stał na czele Komitetu obradującego nad sprawą włościańską i w domu jego odbywały się liczne zjazdy, gwarne narady, którym przysłuchiwałam się z ciekawością gorącą".

Orzeszkowa z dumą pisze o znacznie większej postępowości szlachty polskiej Litwy i Białorusi w porównaniu ze szlachtą rosyjską i szlachta Królestwa Polskiego:

„Wszystkie gubernie opowiedziały się za uwłaszczeniem. Grodzieńska za uwłaszczeniem pełnym — reszta — w różnej mierze za oddaniem sadyb — chat z ogrodami".

W r. 1861 Komitety ziemiańskie zostały usunięte od udziału w pracach nad uwłaszczeniem. Rząd rosyjski przeprowadził reformę radykalniej zresztą niż to przewidywały projekty szlachty.

To wykluczenie czynnika społecznego, a także szereg obostrzeń na niekorzyść ziemiaństwa budziło niechęć szlachty — nawet najradykalniejszej. Widziano w tym niebezpieczny dla polskości tych ziem sojusz ludu białoruskiego z rządem. Wytykano usterki i błędy tej reformy.

Orzeszkowa pisze do Jeża w r. 1876 — „... służyliśmy sami za tę "anima vilis", na której dokonał się eksperyment dokonywania zmian ekonomicznych i społecznych wg. przepisu: na prawo marsz! I widzieliśmy, że wiele rzeczy poszło na lewo".

Wpływom rosyjskim przypisywano ciemnotę i niski poziom moralności ludu. Orzeszkowa nawet kradzieże zapisuje na konto działalności kulturalnej rządu rosyjskiego: „... Nie tłumaczy się to biedą, biednymi nie są, a 3/4 majętności zostawiają w karczmach, lecz tłumaczy się to wybornie wychowaniem, które otrzymali, ostatnią szczególnie lekcją, udzieloną im w ostatnich kilkunastu latach". (List do Jeża z r. 1879).

Uwłaszczenie chłopów było ostatecznym klinem wbitym między ziemiaństwo polskie a białoruski lud tzw. gubernii zachodnich — „...reforma uwłaszczeniowa postawiła żywioł polski na tych ziemiach od jednego zamachu wobec utraty połowy obszaru kraju". (W. Kula op. cit.).

Po powstaniu 1863 roku, polski stan posiadania skurczył się gwałtownie dzięki konfiskatom i ruinie gospodarczej wielu majątków ziemskich. Zrujnowani ziemianie powiększają kadry tworzącej się nowej warstwy — inteligencji. Do grupy tej należy Orzeszkowa. Przedstawiciele tego odłamu są niejednokrotnie najsurowszymi sędziami — moralizatorami w stosunku do warstwy szlacheckiej, niemniej jednak zawsze śpieszą jej z pomocą w momencie zagrożenia. Utrzymać ziemię — hasło Benedykta Korczyńskiego — to leitmotiv wszystkich utworów Orzeszkowej zahaczających o problematykę wiejską. W „Dwóch Biegunach" p. Seweryna Zdrojowska snuje marzenia o zjednoczeniu wszystkich rolników — od wielkiej własności do najmniejszej, w celu pomocy, ochrony i oddziaływania kulturalnego.

Te solidarystyczne koncepcje łączą się ściśle z tendencją do tuszowania źródeł konfliktu i z propagowaniem współpracy i współżycia z wsią. Nigdzie na przestrzeni całej twórczości Orzeszkowej nie został wyraźnie pokazany dwór w epoce po uwłaszczeniu chłopów **w swych realnych stosunkach z wsią.** Konkretniej zarysowane są już sprawy służby folwarcznej („Niziny", „Tadeusz") Orzeszkowa nie szczędzi co prawda cierpkich słów pod adresem dworów szlacheckich, gnębiących chłopów, ale odnosi się to do czasów pańszczyźnianych. („Obrazek z lat głodowych", „Przy dochodzeniu śledczem"). Jeśli byt chłopa pańszczyźnianego malowała sama w ponurych barwach, tym nie mniej entuzjazmowała się próbami zdjęcia ze szlachty odpowiedzialności za nędzę chłopa. Stąd płynęło jej przejęcie się losami pracy Przyborowskiego „Włościanie w Polsce i na Rusi".

Pisała o niej w r. 1880 do Kraszewskiego: „Przysłał mi Walery Przyborowski rzecz bardzo piękną o włościanach naszych. Są to szkice, a raczej studia historyczne traktujące historię włościan polskich z punktu porównawczego i zmierzające do wykazania, że we względzie tym, jeżeli działo się u nas niedobrze, to pod wpływem niezłomnych wpływów i konieczności dziejowych, które nie tylko u nas, ale i wszędzie podobneż sprowadzały zjawiska nie tylko podobne, ale stokroć nieraz gorsze, sroższe, bezwzględniejsze. Książka ta będzie użyteczną bardzo tu, gdzie młodzież pod wpływem tendencyjnego nauczania historycznego opuszcza szkoły z przekonaniem, że Polska i tylko jedna Polska była „piekłem chłopów". A więc odtrutka na młodzieżowy radykalizm. Orzeszkowa daleka była od fanatycznego nacjonalizmu i przychylną ludności białoruskiej, stała jednak na stanowisku, że dalsze uszczuplenie stanu posiadania dworu jest groźbą dla żywiołu polskiego na tych ziemiach.

Stąd przekonanie, że uwłaszczenie rozwiązało ostatecznie kwestię chłopską i o dalszym przejmowaniu ziemi szlacheckiej przez chłopów mowy być nie może.

W „Nizinach" opisujących byt wiejskiego proletariatu — służby folwarcznej, nakreślenie przejmującego obrazu bytowania tych nędzarzy nie powstrzymało jej od napiętnowania chłopskiego marzenia o własnej ziemi jako nienasyconej chciwości i skłonności do pieniactwa. Orzeszkowa wierzyła, że sytuacja służby folwarcznej winna ulec poprawie dzięki woli ziemian uświadomionych o swych obowiązkach społecznych — vide ideały: Seweryna Zdrojowska czy Stefan Darnowski.

Że zaś życie wykazywało absurdalność tych solidarystycznych marzeń, więc w powieściach Orzeszkowej idealne dwory mają charakter mgławicowo - utopijny („Australczyk", „Dwa bieguny"). W „Dziurdziach" usiłowała Orzeszkowa dać obraz „wsi szczęśliwej", w której ciemnota, przesądy i niski poziom moralności są jedynym źródłem tragedii. Wiemy zaś już, na kogo składała odpowiedzialność za tę ciemnotę

Witold Warkałło

Reforma Ubezpieczeń Społecznych

Zapowiedziana przez czynniki miarodajne reforma ubezpieczeń społecznych budzi zrozumiałe zainteresowanie opinii publicznej. Chodzi przecież o urządzenie społeczne olbrzymiej doniosłości, w pełni już odbudowane ze zniszczeń wojennych, wykazujące wielką dynamikę rozwojową. Czyż nie jest znamienny szybki wzrost liczby ubezpieczonych? W styczniu 1946 r. było ubezpieczonych 1.800.000, w rok później — 3.000.000, a w sierpniu 1947 r. ich liczba przekroczyła 3.500.000. Budżet ubezpieczeń społecznych w roku bieżącym wyniósł 22 miliardy zł., co stanowi 13% budżetu państwa. Na same renty (dla 415 tys. ubezpieczonych) wydaje Zakład Ubezpieczeń Społecznych 892 miliony złotych miesięcznie, a wydatkowane przez ubezpieczenie społeczne kwoty na leczenie ubezpieczonych i zasiłki chorobowe dla nich przekroczyły już sumę 900 milionów zł. miesięcznie (w miesiącu sierpniu 1947 r.).

Pomimo wydatkowania tak olbrzymich sum na świadczenia (dla ubezpieczonych) ubezpieczenia społeczne nie spełniają jeszcze w pełni swej roli, zarówno jeżeli chodzi o ich zakres osobowy, jak i wysokość świadczeń. Zaledwie 1/3 ludności kraju korzysta z ochrony ubezpieczeniowej, a ochrona ta winna być udziałem całego świata pracy, winni z niej korzystać wszyscy ci, którzy żyjąc ze swej pracy (a nie z kapitału) w przypadku utraty zdolności do zarobkowania (wskutek choroby, wypadku, inwalidztwa) tracą podstawy materialne swego bytu i swych rodzin.

W rozpisanej na temat reformy ankiecie wypowiedział się szereg polityków społecznych, rzeczoznawców i uczonych, nadsyłając szczegółowo uzasadnione propozycje i uwagi w sprawie odnowy ubezpieczeń społecznych. Zamierzona reforma dotyczy przede wszystkim człowieka pracy, chodzi przecież o zabezpieczenie jego losu przed następstwami wydarzeń klęskowych, pozbawiających go zdolności do pracy, a tym samym — i zarobku. Słowo „prostego człowieka" będzie wysłuchane w Polsce Ludowej, która stawia sobie jako najwyższy cel, zapewnienie ludziom pracy pomyślnych warunków bytowania i odpowiedniej stopy życiowej.

Wieś polska winna zająć stanowisko wobec zamierzonej reformy. Fakt, że korzysta ona dotąd z dobrodziejstw ubezpieczenia społecznego tylko w minimalnym zakresie czyni jej zapotrzebowanie tym konieczniejszym. Na szeroką skalę zakrojona reforma ubezpieczeń przewiduje objęcie ochroną ubezpieczeniową grup dotąd z niej nie korzystających i być może uczyni zadość potrzebom ubezpieczeniowym wsi polskiej, o ile chłopi będą tego żądać.

POLSKI SYSTEM UBEZPIECZEŃ SPOŁECZNYCH

Zorganizowany już w okresie przedwojennym system ubezpieczeń społecznych obejmuje ubezpieczenia od czterech następujących kategoryj wydarzeń losowych: 1) choroba i macierzyństwo, 2) wypadki w zatrudnieniu i choroby zawodowe, 3) inwalidztwo, starość i śmierć, 4) brak pracy. Obok wydarzeń losowych, powodujących utratę zarobku, główną przyczyną nędzy i niedostatku bywa liczne potomstwo, na którego utrzymanie zarobek pracownika nie wystarcza. Toteż z radością powitał cały świat pracy wiadomość o wprowadzeniu z dniem 1 stycznia 1948 roku ubezpieczenia rodzinnego, które ma zapewnić każdemu dziecku pracownika stały zasiłek w wysokości niezależnej od poziomu indywidualnego zarobku rodziców.

Zarówno nowowprowadzone ubezpieczenia rodzinne jak i istniejące już od lat rodzaje ubezpieczeń społecznych nie obejmują najliczniejszej grupy naszej ludności, warstwy samodzielnie gospodarujących rolników. Chłopstwo polskie nie korzysta dotąd z dobrodziejstw ubezpieczeń społecznych, nie otrzymuje żadnych świadczeń, ani w wypadku choroby, ani macierzyństwa, nie pobiera rent emerytalnych na starość, ani w razie utraty zdolności do pracy wskutek nieszczęśliwego wypadku. Jedyny wyjątek stanowią drobni producenci rolni (właściciele, użytkownicy, dzierżawcy gospodarstw o obszarze mniejszym od 30 ha na terenie województw zachodnich, którzy korzystają z ubezpieczenia wypadkowego) na mocy Rozp. Prezydenta z 27 grudnia 1933 r. (Dz.U.R.P. Nr 102, poz. 793).

Podczas gdy chłopi są całkowicie pozbawieni dobrodziejstw ubezpieczeń społecznych (poza wyżej wspomnianym, terytorialnie ograniczonym wyjątkiem), to robotnicy rolni korzystają z nich, acz w znacznie mniejszym zakresie niż inni pracownicy najemni. Na całym obszarze kraju są oni objęci tylko ubezpieczeniem od wypadków i chorób zawodowych, a od 1 marca 1947 r. — także i ubezpieczeniem na wypadek choroby i macierzyństwa, narazie, z wyłączeniem robotników rolnych, zatrudnionych w mniejszych gospodarstwach (o obszarze do 30 ha). Biorąc pod uwagę, że liczba robotników rolnych zmalała (głównie dzięki obdzieleniu ziemią ponad 100 tysięcy rodzin b. służby folwarcznej) do 2.15% ogółu ludności wiejskiej, trzeba raz jeszcze stwierdzić, że wieś polska tylko w minimalnym stopniu korzysta z ochrony ubezpieczeniowej.

Przed wojną pracownicy opłacali składki na ubezpieczenia społeczne, dziś są oni od wszelkich obciążeń z tego tytułu zwolnieni. Jak świadczą o tym dotychczasowe, fragmentarycznie wprowadzane zmiany w ustawodawstwie ubezpieczeniowym, Polska odrodzona dąży nie tylko do objęcia ubezpieczeniami społecznymi jak najliczniejszych grup świata pracy, ale i do powiększenia zakresu udzielanych świadczeń.

CO DAJĄ UBEZPIECZENIA SPOŁECZNE?

Pracownicy najemni, nie wyłączając pracowników państwowych, otrzymują **w razie choroby:** 1) opiekę lekarską, leczenie szpitalne i sanatoryjne, położnice również pomoc położniczą, 2) lekarstwa, środki opatrunkowe, lecznicze i pomocnicze, 3) zasiłki chorobowe, zasiłek połogowy, zasiłek dla karmiących matek, 4) zasiłek pogrzebowy w wypadku śmierci chorego. Przed wojną pracownik był obowiązany do pewnych opłat i pewnych dopłat w związku z leczeniem, obecnie jest on zwolniony od wszelkich obciążeń i korzysta z leczenia całkowicie bezpłatnego.

Gdy pracownik pada ofiarą **wypadku lub choroby zawodowej** i staje się całkowicie lub częściowo niezdolny do zarobkowania, otrzymuje tak zwaną rentę wypadkową w wysokości uzależnionej od stopnia utraty zdolności do pracy. Jeżeli utracił on conajmniej 2/3 swej zdolności do zarobkowania, to przysługuje mu ponad to dodatek na każde dziecko. W razie śmierci wypłaca się zapomogę pośmiertną lub odprawę jednorazową, a wdowa, sieroty, niekiedy i dalsza rodzina uzyskują prawa do rent.

Gdy pracownik przebył w ubezpieczeniu przewidziany prawem okres czasu, a przytym osiągnął granicę wieku (zależnie od kategorii i płci od 55 do 65 lat) albo stał się niezdolnym do zarobkowania wcześniej wskutek upadku sił fizycznych lub umysłowych, to otrzymuje on **rentę inwalidzką** (lub starczą) i pomoc leczniczą. Po jego śmierci wypłaca się zapomogę pośmiertną lub zasiłek pogrzebowy, a wdowa, sieroty uzyskują rentę.

Gdy pracownik **traci pracę** wskutek bezrobocia, przysługują mu zasiłki. Dzięki zrealizowaniu przez Polskę Ludową zasad gospodarki planowej, bezrobocie nie grozi już światu pracy. W związku z tym przekształca się ubezpieczenie na wypadek braku pracy, na akcję przeszkolenia zawodowego, dzięki któremu pracownik może nauczyć się nowego fachu, a tym samym nie tylko uzyskać ponownie pracę, ale polepszyć swój byt.

Dzięki nowowprowadzonemu ubezpieczeniu rodzinnemu pracownik uzyska z Funduszu Ubezpieczeniowego zasiłek na każde dziecko, a także na żonę, nie pracującą zarobkowo. Pracodawca zwolniony od obowiązku wypłaty dodatków rodzinnych, będzie wypłacał poborv w równej wysokości wszystkim pracownikom, o równych kwalifikacjach i wydajności pracy, niezależnie od ich stanu rodzinnego. Nie będzie więc obawiał się zatrudniać pracowników obarczonych liczną rodziną — ich szanse uzyskania pracy nie będą więc gorsze od szans pracowników samotnych, jak to było dotąd.

Krótko mówiąc ubezpieczenia społeczne mają zapewnić „chleb powszedni" dla pracownika i jego rodziny mimo, że wskutek nieszczęść losowych utracił on prawo do zarobku, a tym samym odpadła normalna podstawa bytu: wynagrodzenie za pracę. Ani choroba, ani wypadek, ani inwalidztwo, czy starcza niezdolność do pracy nie rzucą rodziny pracowniczej w otchłań nędzy. Pracownik może śmiało założyć rodzinę, bo wie, że jak z jednej strony Polska Ludowa dba o los jego dzieci, zapewniając wypłatę zasiłków rodzinnych, tak z drugiej żadne nieszczęście losowe nie pozbawi go, ani jego rodziny środków do życia.

Ubezpieczenia społeczne stanowią dobrodziejstwo nie tylko dla tych, którzy utracą zarobek wskutek choroby, wypadku lub bezrobocia, ale i dla tych, których nieszczęścia te ominęły. Ubezpieczenia dają bowiem wszystkim ubezpieczonym pewność, że ich byt materialny nie będzie zniszczony przez przeciwieństwa losowe i pozwalają śmiało, z ufnością patrzeć w przyszłość. Poczucie bezpieczeństwa jest zaś nie mniej ważne, niż samo bezpieczeństwo.

DLACZEGO CHŁOPI NIE SĄ OBJĘCI UBEZPIECZENIEM SPOŁECZNYM

Czytelnikowi nasunie się pytanie, dlaczego chłopi nie korzystają z dobrodziejstw ubezpieczenia społecznego? Czyżby to był po prostu jeden z przejawów zacofania cywilizacyjnego wsi polskiej? Może chłopu nie jest potrzebna ochrona ubezpieczeniowa? Czy nie może on się bez niej obywać, tak jak obywa się bez oświetlenia elektrycznego, bez kanalizacji, gotowania na gazie, bez kina i innych udogodnień życia miejskiego?

Fakt, że chłopi polscy pozostali poza wielką wspólnotą ubezpieczeniową, jest niewątpliwie na równi z pierwotnymi metodami gospodarki rolnej, (opartej na wysiłku fizycznym rolnika i jego szkapiny, jako jedynej siły pociągowej), jednym z dowodów zacofania rozwojowego wsi polskiej, ma jednak swe uzasadnienie, zarówno historyczne jak i koncepcyjne.

Ubezpieczenia społeczne są zdobyczą klasy robotniczej, wynikiem wieloletniej walki robotników przemysłowych o poprawę i zabezpieczenie ich bytu. Robotnicy wywalczyli dla siebie ochronę ubezpieczeniową, było to pierwsze poważniejsze ustępstwo na rzecz pracy ze strony kapitału, który łudził się, że w ten sposób postawi tamę rozwojowi socjalizmu.

Obok tej przyczyny historycznej istnieje po dziś dzień druga, koncepcyjna: ubezpieczenia społeczne uważa się, za urządzenie dla pracowników najemnych, a chłop „na swoim pracuje". Prawda, chłop pracuje na swym własnym zagonie, nie chodzi na robotę do cudzego warsztatu pracy, ale czyż wyłącza się przez to ze świata pracy, czyż jego sytuacja materialna jest lepsza, a jego poziom życia wyższy niż robotnika fabrycznego, lub innych ubezpieczonych? Trudno przyrównywać chłopów do kupców, drobnych przedsiębiorców i przemysłowców, przedstawicieli wolnych zawodów (lekarzy, adwokatów, artystów), których również wyjęto spod obowiązkowych ubezpieczeń społecznych. Prawda, chłop na równi z nimi ma swój warsztat: pracuje na swej roli, nikt go do tej pracy nie zaangażował, nikt go nie dozoruje, wschody i zachody słońca, przyroda regulują czas jego pracy, a niekiedy udzielają mu „bezpłatnych urlopów". A jednak chłop polski nie jest przedsiębiorcą — jest on raczej pracownikiem na roli, robotnikiem tej wielkiej „fabryki chleba", tej ziemi, zroszonej jego potem, użyźnionej jego pracą.

Hasło solidarności robotniczo - chłopskiej nie jest pustym frazesem. Wyraża ono wspólnotę doli chłopskiej i robotniczej. Ani robotnik, ani chłop, walcząc z niedostatkiem, nie są w stanie o własnych siłach opłacać leczenia w razie choroby, ponosić koszty kształcenia dzieci i zapewnić sobie spokojną starość. Chłop jest wprawdzie właścicielem swej gospodarki, ale nie jest kapitalistą, żyjącym z procentów od kapitału. Osiągany przez niego plon jest nie dochodem z majątku, a jakby wynagrodzeniem za pracę, i to za pracę, wymagającą wielkiego wysiłku i trwającą od świtu do nocy.

W systemie kapitalistycznym jedną z najważniejszych różnic pomiędzy sytuacją chłopa a robotnika było to, że chłop zawsze miał pracę, natomiast robotnikowi groziło ryzyko bezrobocia. Dzięki systemowi gospodarki planowej, zrealizowanemu w demokratycznej Polsce, zaciera się ta różnica, gdyż Państwo zapewnia pracę każdemu.

ODRĘBNOŚĆ ZAPOTRZEBOWANIA UBEZPIECZENIOWEGO WSI POLSKIEJ

Nie ulega wątpliwości, że ubezpieczenie na wypadek choroby i macierzyństwa oraz ubezpieczenie od wypadków, są warstwie chłopskiej niemniej potrzebne niż pracownikom, zatrudnionym w mieście. Sytuacja materialna właściciela małej gospodarki chłopskiej nie jest bynajmniej lepsza od sytuacji większości pracowników, objętych tymi ubezpieczeniami a o gotówkę na wsi trudniej. Koszty leczenia odstraszają chłopa od zasięgania porad lekarskich i od poddawania się kuracji, tym więcej, że udawanie się w tym celu do miasta powoduje stratę czasu, na którą niezawsze może on sobie pozwolić. Korzyści dla zdrowia, wynikające z przebywania na świeżym powietrzu, z regularnego trybu życia wiejskiego, z prostego, przeważnie roślinnego lub na nabiale opartego odżywiania i „kuchni domowej", są niestety niwelowane przez niehigieniczne warunki życia wiejskiego, brak uświadomienia w sprawach zdrowia i dbałości o nie. O niehigienicznych warunkach bytowania chłopskiego świadczy najlepiej przerażająca wprost śmiertelność niemowląt na wsi (w wieku do lat 4 umiera na wsi 37.4% dzieci), kilkakrotnie przewyższająca śmiertelność w mieście. Jeżeli chodzi o wypadki przy pracy, to zdarzają się one bez porównania częściej niż przy pracy w biurach, a nawet w niektórych zakładach przemysłowych. Wcześniej czy później cała wieś, a nie tylko robotnicy rolni, musi być objęta ubezpieczeniem od wypadków i chorobowym.

Nieco inaczej przedstawia się problem chłopskiego ubezpieczenia emerytalnego t.j. na wypadek inwalidztwa, starości i śmierci. Właściwym żywicielem rodziny chłopskiej jest bowiem nie ojciec, ale sama ziemia, na której cała rodzina chłopska pracuje. Jeżeli nieurodzaj, katastrofa suszy, powodzi czy klęska zarazy roślinnej lub szkodników nie zniszczy plonu, albo pomór nie wygubi żywego inwentarza, to byt rodziny chłopskiej będzie zapewniony. Wie o tym chłop polski z doświadczenia minionych pokoleń i nie troszczy się o to, żeby zostawić żonie swej i dzieciom innego zabezpieczenia niż samą gospodarkę, niepomniejszoną co do obszaru i w stanie jak najlepszym. Nie ma on w sobie nic z mentalności farmera amerykańskiego, który pragnąłby na starość zamieszkać w mieście i żyć z nagromadzonych oszczędności czy z ubezpieczonego kapitału. Nie pragnie on dla siebie renty starczej czy inwalidzkiej, ani nie myśli o uzyskaniu dla wdowy czy sierot renty na wypadek swej śmierci. Nie interesuje go społeczne ubezpieczenie emerytalne podobnie, jak nie interesuje go prywatno - prawne ubezpieczenie na dożycie lub na wypadek śmierci. Chłop polski widzi przed sobą inne cele życiowe, cele o większym gospodarczo-społecznym znaczeniu.

Chłop polski uważa za swe dwa naczelne zadania życiowe: 1) utrzymać w swym ręku dziedziczną gospodarkę, doprowadzić ją do jak najlepszego stanu i niepomniejszoną przekazać swemu następcy, 2) zapewnić byt wszystkim swym potomkom, którzy muszą opuścić ojcowiznę i stworzyć sobie sytuację życiową poza rodzinną zagrodą. Spełnienie tych zadań częstokroć przerasta siły gospodarza, wymaga bowiem niestrudzonej pracy całego życia i systematycznej kapitalizacji, celem zebrania środków pieniężnych na spłaty spadkowe wszystkich potomków, wyłączonych od spadkobrania w naturze oraz na ich wykształcenie fachowe i wyposażenie. Konkretnie mówiąc chodzi o danie fachu do ręki chłopcom i dziewczętom, idącym do miasta na pracę w przemyśle, rzemiośle, na urzędzie, o wyposażenie córek, wychodzących za mąż na wsi, a jednocześnie zapewnienie im wszystkim zachowku t.j. wymaganego przez prawo udziału ze spadku.

Ten tak pojęty program życiowy polskiego chłopa nie wynika bynajmniej z poczucia jakiegoś mistycznego obowiązku wobec minionych i przyszłych pokoleń, wymagającego przekazywania swemu następcy pełnej spuścizny, odziedziczonej po rodzicach. Niema w nim także żadnej dowolności — jest to po prostu konieczny wniosek, wynikający z właściwej oceny potrzeb gospodarki rolnej i z zasady dziedziczenia, przyjętych przez prawo spadkowe.

Gospodarka chłopska z ledwością wystarcza jako baza wyżywienia dla jednej rodziny, przeto może na niej pozostać tylko jeden syn spadkodawcy jako dziedzic. Jego bracia i siostry powinni zadowolić się zachowkiem t. j. połową tego, co otrzymaliby w przypadku równego podziału majątku spadkowego (przy dziedziczeniu beztestamentowym). Gdyby ojciec, nie troszcząc się o zachowanie gospodarki w niepomniejszonym obszarze chciał podzielić ją pomiędzy swe dzieci, to i wtedy byłoby to niemożliwe. Prawo, ze zrozumiałych względów ochrony produkcji rolnej, nie dopuszcza do powstawania nowych gospodarstw karłowatych w drodze działów rodzinnych i zezwala na podział nieruchomości wiejskiej tylko pod warunkiem „żywotności gospodarstw", mających powstać w jego wyniku (art 35 § 2 dekretu o postępowaniu niespornym w zakresie prawa rzeczowego i art. 147 § 2 dekretu o postępowaniu spadkowym, oba akty ustawodawcze z 8 listopada 1946 r.). Do tego samego celu zmierza przepis art. 13 dekretu z 6 listopada 1946 r. o przeprowadzeniu reformy rolnej, zakazujący podziału gospodarstw, utworzonych w wyniku przebudowy ustroju rolnego.

Konieczność dokonania spłat rodzinnych narzuca chłopu obowiązek systematycznego oszczędzania celem zebrania sum, niezbędnych na wypłacenie zachowków. Jest to dla gospodarki chłopskiej, przy jej małej rentowności, bardzo ciężkie zadanie, wymagające dwudziestu - trzydziestu lat nieprzerwanej kapitalizacji. Niemniej trudnym jest „oderwanie się od roli" młodzieży chłopskiej, opuszczającej ojcowiznę, tym trudniejsze zadanie, że dziewczęta nie zadowolą się już dzisiaj posadą „służącej do wszystkiego" a chłopcy sytuacją dozorcy domowego czy niewykwalifikowanego robotnika. Chłop pragnie, aby zatrudnienie jego dzieci w nowym, zazwyczaj t. zw. miejskim zawodzie było dla nich pewnym awansem społecznym.

Tymczasem przygotowanie fachowe dziecka wsi do pracy w takim „miejskim" zawodzie, pomimo zasady bezpłatności nauki, powoduje obciążenia finansowe, którym trudno sprostać, a także usamodzielnienie się w rzemiośle i handlu wymaga środków, przerastających skromne, chłopskie możliwości.

Ten „program życiowy" chłopa polskiego jest niezwykle trudny do wykonania. Wiele rodzin chłopskich potrafi go urzeczywistnić (kosztem wielkich ograniczeń, wyrzeczeń i samozaparcia, za cenę obniżenia swej stopy życiowej do minimum egzystencji), ale jeszcze więcej nie jest w stanie tym ciężkim zadaniom podołać. Pełne i powszechne zrealizowanie obu punktów tego programu (utrzymanie niepodzielności gospodarki, stworzenie egzystencji dla opuszczającej ją młodzieży), nie da się uzyskać w drodze niezorganizowanego, indywidualnego oszczędzania. Z uwagi na wielką społeczno-gospodarczą doniosłość utrzymania zdrowej struktury własności rolnej i zapewnienia dopływu pełnowartościowego, fachowo przygotowanego elementu chłopskiego do produkcji przemysłowej i „zawodów miejskich", Państwo winno dopomóc chłopu w realizacji jego „programu życiowego". Pomoc ta mogłaby wyrazić się **w zorganizowaniu Funduszu Ubezpieczeniowego**, finansującego spłaty rodzinne po śmierci spadkobiercy lub wypłacającego odnośne kwoty wcześniej, za życia ojca, w formie pokrywania kosztów wykształcenia fachowego dzieci chłopskich, mających opuścić ojcowiznę. Tego rodzaju inicjatywa czynników miarodajnych spotkałaby się ze zrozumieniem chłopstwa polskiego, wśród którego kiełkuje już myśl wzajemnych chłopskich ubezpieczeń osobowych, mających ułatwić spłaty rodzinne*).

Szeroko zakrojone prace przygotowawcze do reformy ubezpieczeń społecznych, projekty objęcia nimi wsi polskiej pozwalają żywić nadzieję, że i szczególne zapotrzebowanie ubezpieczeniowe chłopa polskiego będzie z uwagą rozpatrzone. Być może znajdzie się sposób dopomożenia chłopu przy realizacji jego „programu życiowego" przez zorganizowanie Funduszu Spłat Rodzinnych i Wykształcenia Fachowego, opartego na podstawie ubezpieczenia społecznego chłopów polskich, które łączyłoby elementy życiowe ubezpieczenia ludowego z ideą wyposażenia i fachowego wyszkolenia młodego pokolenia chłopskiego.

*) Zob. artykuł M. Kokoszkiewicza o ubezpieczeniach wzajemnych w „Myśli chłopskiej" nr. 3 z 10.1947 r. str. 66—73.

Jan Zieliński

Na front walki z analfabetyzmem!

Na podstawie spisu ludności z 1921 roku (por. Rocznik Statyst. z 1925 r.) mieliśmy w Polsce 6.581.307 analfabetów w wieku ponad 10 lat życia, co stanowiło wówczas 32.7 proc ludności, nie licząc dzieci poniżej lat dziesięciu.

W roku 1939-tym analfabeci stanowili 22 proc. powyżej 10 lat życia. Było to znacznie mniej w porównaniu ze stanem z roku 1921-go, ale jakże jeszcze dużo, gdy zestawimy te dane z sytuacją w Związku Radzieckim, gdzie w tym czasie analfabetyzm zdołano niemal zupełnie zlikwidować, lub z państwami zachodnimi, gdzie problem analfabetyzmu nie istniał już dawno.

Brak nam dokładnych danych, jak się obecnie sytuacja przedstawia pod tym względem, gdyż szczegółowy spis ludności jest jeszcze przed nami, ale i z tych danych, które posiadamy, możemy wyciągnąć pewne wnioski.

Ministerstwo Oświaty przed paru miesiącami zleciło Kuratoriom Szkolnym przeprowadzenie w swych okręgach orientacyjnych spisów analfabetów poprzez kierownictwą szkół powszechnych. Akcja z braku odpowiednich funduszów, a może jeszcze bardziej z nieodpowiednio dobranego czasu (czerwiec lub wrzesień, gdy kierownicy szkół byli najbardziej zaabsorbowani pracą organizacyjną i egzaminami w szkołach) nie została dobrze rozwiązana. Tym nie mniej liczby uzyskane mają swoją wartość i swoją wymowę.

Oto przykład. W Kuratorium Kieleckim najdokładniej spisy przeprowadzono w powiecie opatowskim. Na 156 tysięcy mieszkańców naliczono około 23 tysięcy analfabetów w wieku od 14 lat życia wzwyż; w tym od 14 do 45 r. życia jest — 11 tysięcy a powyżej 45 r. — 12 tysięcy. (Powiat przyczółkowy — większość gmin zniszczona działaniami wojennymi).

Gdybyśmy przyjęli, że o wiele lepszy stan rzeczy panuje na terenie całego województwa, to się okaże, że w województwie kieleckim liczącym ogółem 1.717.672 mieszkańców w/g spisu z 1946 r. liczba analfabetów wynosi blisko 200 tysięcy, co stanowi około 12 proc. ogółu ludności. Z liczby tej na wiek od 14 — do 45 r. przypadałoby około 90 tysięcy a powyżej 45 r. życia — 110 tysięcy.

W skali ogónokrajowej przy powyższym obliczeniu liczba analfabetów może przekroczyć dwa miliony

Jest to liczba przerażająca.

A teraz zastanówmy się, jak się przedstawia akcja likwidacji analfabetyzmu. Krótko mówiąc, niezwykle ciężko, gdyż przyznać trzeba, jest to najtrudniejszy problem do rozwiązania na odcinku oświaty dorosłych.

Wystarczy sięgnąć znów do liczb. W dniu 31.1.1946 r. w całej Polsce było 495 kursów stopnia I-go (dla analfabetów i półanalfabetów), a liczba uczestników na tych kursach wynosiła 13.610. Wszystkich uczących się na kursach dla dorosłych (poza szkołami powsz. dla dorosłych) było 190.889 osób. Wobec powyższego analfabeci stanowili zaledwie około 7 proc z ogółu uczących się na kursach dla dorosłych.*)

Min. Oświaty wszystko robiło, by nauką objąć jak najwięcej właśnie analfabetów.

Weźmy jako przykład znów Kielecczyznę. W roku 1945/46 na ogólną liczbę kursów dla dorosłych 399 było — 2 dla analfabetów. Łączna liczba słuchaczy wynosiła na nich 30 osób! W roku 1946/7 przy 175 kursach ogółem, dla analfabetów było—17. Ogólna liczba słuchaczy 259, zaś w roku bieżącym, na 200 kursów dla dorosłych — kursów stopnia I-go (dla analfabetów) wraz z klasami I-szymi w szkołach powszechnych dla dorosłych jest 32. Ogólna liczba słuchaczy na tych kursach — 798. Liczba ta stanowi około 0,7 proc analfabetów w wieku 14 — 45 lat mieszkających w Kielecczyźnie.

Z tych kilku liczb widzimy, że w ostatnim roku liczba kursantów dla analfabetów prawie podwoiła się, ale mimo to jakże przerażająco mała liczba analfabetów znalazła się przy stoliku nad książką i zeszytem.

Trzeba przy tym bezstronnie zaznaczyć, że wysiłek inspektorów szkolnych i nauczycielstwa w tym kierunku był duży. Świadczy o tym choćby fakt, że mimo zmniejszonych kredytów ze strony Państwa, ogólna liczba kursów wzrosła w porównaniu z rokiem poprzednim.

W skali ogólnokrajowej sytuacja przedstawia się niewiele lepiej. O czym to świadczy? I jak szukać wyjścia?

Świadczy to przede wszystkim o tym, że zagadnienie likwidacji analfabetyzmu jest zjawiskiem złożonym i niezwykle trudnym do rozwiązania.

Rozważmy kilka trudności najbardziej rzucających się w oczy. Pierwsza trudność wynika stąd, że analfabeci w ogromnej masie nie czują swego kalectwa. Nie garną się do szkół, nie pragną jak najprędzej posiąść wielkiej tajemnicy słowa drukowanego czy pisanego. Czy to ich wina? Sądzić tak — byłoby zbyt powierzchownie. Przyczyny tego stanu rzeczy sięgają głęboko w strukturę społeczną środowiska, z którego rekrutują się analfabeci. Np. na wsiach (analfabetyzm gnieździ się przede wszystkim na wsiach) oni stanowią element najmniej ruchliwy. Stoją na uboczu i tak mało ożywionego życia społecznego, politycznego czy gospodarczego. Ich aspiracje są minimalne. Najczęściej nie przekraczają dążeń koniecznych do biologicznego zachowania życia. A powszechność analfabetyzmu przyczynia się do tego, że osobnicy nie umiejący czytać i pisać nie odczuwają osobiście z tego tytułu np. poczucia niższości, nie krępują się tym brakiem, nie czują najmniejszego wstydu czy zażenowania z tego powodu. W ich pojęciu (najczęściej) nie wpływa to na „karierę" życiową. Przecież należne mu od ojca w spadku 2 — 3 morgi i tak kazdy dostanie i tak będzie na nich gospodarował, jak gospodarzy ojciec, czy jak kiedyś czynił to dziad lub pradziad,

A inna trudność? Po doświadczeniach wielu lat pracy na tym odcinku można zdaje się ryzykować twierdzenie, że likwidacja analfabetyzmu nie może, w dzisiejszych szczególnie warunkach, spoczywać wyłącznie na barkach nauczycieli szkół powszechnych. Dotychczas niestety tak bywało.

Obecnie nauczycielstwo samo tej akcji nie przeprowadzi. Z wielu przyczyn. Między innymi dlatego, że jest wyjątkowo przepracowane w szkole. Niemal z reguły każdy nauczyciel uczy w wymiarze od 8 — 10 godzin dziennie. Czyż może jeszcze zająć się pracą inną, pracą szczególnie trudną, do jakich niewątpliwie należy już sama akcja „ściągnięcia" analfabetów do szkoły? A potem, czy może ich uczyć, jeśli nawet znajdzie jeszcze trochę sił i czasu, przy swoich nikłych poborach, bezpłatnie lub z płacą niedostateczną? Bo analfabeci, nie rozumiejąc najczęściej potrzeby nauki, nie chcą lub nie mogą płacić za naukę. A ilu jest nauczycieli niekwalifikowanych, którzy po uciążliwych zajęciach rannych muszą długo wieczorami ślęczeć nad książką, aby zdobyć kwalifikacje? A ilu jest takich, którzy od paru lat winni odejść na zasłużoną emeryturę?

Trzeba szukać innego wyjścia.

Przyznać trzeba, że w tej chwili wkraczamy pod tym względem, choć nieśmiało na nowe tory!

Dzięki np. usilnym staraniom administracji szkolnej akcją powyższą na terenie całego kraju coraz więcej interesują się samorządy, a szczególnie Rady Narodowe. Oto znów przykład z terenu Kielecczyzny: W roku 1947 na kształcenie dorosłych poza akcją biblioteczną, która pochłonęła blisko 18 mil. zł., Rady Narodowe gminne, powiatowe i wojewódzkie wydały prawie 2 mil. zł. Jest to stosunkowo dużo, zważywszy słabą aktywność samorządów w latach przedwojennych.

A w roku 1948 we wszystkich budżetach gminnych i powiatowych przewidziane są kwoty, które poważnie wpłyną na rozwój akcji kształcenia dorosłych. Tak np. w niewielkim powiecie włoszczowskim uchwalono asygnować 800 tys. zł na kształcenie dorosłych, a w powiecie opatowskim aż 2 mil. zł. Wojewódzki Wydział Samorządowy wstawił 1 milion zł. na kursy dla dorosłych. Ale i to wszystko jeszcze kwestii nie rozwiązuje. To skromny przyczynek do likwidacji wielkiej bolączki. Bowiem **walka z analfabetyzmem musi być podjęta na szerokiej płaszczyźnie, bezkompromisowo, przez całe zorganizowane społeczeństwo, jako walka ostateczna, prowadząca w szybkim tempie do zwycięstwa.**

Nie od rzeczy będzie wspomnieć w tym miejscu o dotychczasowych poczynaniach na froncie likwidacji analfabetyzmu. Oto przed paru miesiącami TUR, wielce zasłużony na polu szerzenia oświaty i kultury, zorganizował konferencję poświęconą walce z analfabetyzmem. Zważywszy dobór uczestników sądzić należy, że konferencja ta nie zostanie bez echa, że spowoduje większe zainteresowanie się komórek terenowych TUR kształceniem analfabetów.

Od szeregu tygodni Stronnictwo Ludowe prowadzi ciekawą akcję czytelnictwa prasy wśród swych członków z dość znacznymi wynikami. W numerze 47 z dn. 7.12.1947 r. we „Wsi" — naczelny redaktor, J. A. Król, ogłosił list otwarty do Prezesa Z.M.W. R. P. — „Wici" pt. **„Zadanie dla Wiciarzy"** w którym między innymi pisze:

„Analfabetyzm musi... zginąć. Jego trwanie bowiem oznacza życie setek tysięcy poza narodem co gorsza, poza nową, Ludową Polską. Polska Ludowa, to Polska, w której lud dowiaduje się o szansach lepszego jutra, dalszych, bliższych, pośrednich, bezpośrednich i skoro wie, działa i stwarza je sam dla siebie. Kto może być nauczycielem w tym pierwszym okresie podnoszenia się z ruin ciemnoty? Każdy, kto może wstrząsnąć choćby kilku ogniwami w łańcuchu mas, w którym przez dziesiątki lat wytlono nadzieję lepszego jutra dla siebie i dzieci".

W końcu J. A. Król proponuje, by Koła Wiciowe zajęły się walką z analfabetyzmem. „Wici mogą wystawić według redaktora Króla przynajmniej 50 tys. armię, która pójdzie w sukurs nauczycielom.

Ale warunek, że w tej akcji wezmą udział nie tylko Wiciarze—samotni, jak dotychczas nauczyciele, ale podejmą się tej pracy wszyscy wspólnie, nauczyciele i Wiciarze, ZWM-owcy i OM TUR, Zarządy Kół Str. Lud. i Komitety Partii Robotniczych oraz gminne i powiatowe Komisje Oświatowe przy Radach Narodowych.

Dziś łatwiej jest żyć, ale tylko tym, którzy umieją z dorobku kultury korzystać samodzielnie. Czas ucieka. Każda chwila stracona w likwidacji analfabetyzmu, to **mniejsza wydajność zboża z ha, to mniejsza produkcja artykułów spożywczych, to gorsze warunki życia pracownika biurowego w Państwie, to mniejsza wydajność pracy górnika w kopalni.**

*) Por. Szkolnictwo w liczbach 1945/46 r. W-wa 1946 str. 74 PZWS.

W OSTATNIM 2 (131) NUMERZE „WSI"
z dnia 11 stycznia 1948 r.:

Jerzy Falenciak

Dziecko w rodzinie chłopskiej

Nasze nowe prawo rodzinne przypominając na początku, czym jest pokrewieństwo a czym powinowactwo, ustala zasady obowiązku alimentarnego. W dalszym ciągu traktuje o dzieciach z małżeństwa i dzieciach pozamałżeńskich oraz o przysposobieniu czyli adopcji. Postanowienia składające się na to prawo nie wykazują na ogół nic takiego, co odbierałoby im cechę powszechności i skłaniało do spostrzeżeń, że odnoszą się one bardziej do jednego, a mniej do innego środowiska.

Należy jednak zatrzymać się nieco dłużej przy przepisach o stanowisku prawnym dzieci, ponieważ przepisy te są często nowością w porównaniu z odpowiednim prawem obowiązującym u nas poprzednio. Jeden nawet z tych przepisów sprawia wrażenie, jakby wyłącznie stosował się do rodziny chłopskiej z pominięciem rodziny robotniczej, nie mówiąc już o stosunkach mieszczańskich.

I tak artykuł (w skrócie: art.) 18 paragraf (znak: §) 2 prawa rodzinnego głosi, że dziecko które pozostaje we wspólnocie rodzinnej na utrzymaniu rodziców ma obowiązek świadczenia usług we wspólnym gospodarstwie.

Czym jest takie świadczenie usług w rodzinie mieszczańskiej — dobrze wiadomo, gdzie wspólne gospodarstwo sprowadza się nadal to tworu nie tyle ekonomicznego ile społecznego, socjologicznego, zwanego powszechnie „dobrą rodziną", czy też „dobrym domem", w którym „usługi" są wyłącznym niemal udziałem służby domowej, coś w rodzaju nowoczesnych **operae servorum** (posług niewolniczych). Ta organizacja rodziny mieszczańskiej, jeżeli nawet nie występuje powszechnie, jest ideałem do którego tam się dąży i którego pragnie, a ostatecznie marzy się o nim. Wypada wszakże spodziewać się, że szybko postępujące w tej chwili procesy różnicowania w zawodowej strukturze warstwy chłopskiej sprawią niebawem, iż brak podaży rąk na giełdzie służby domowej już wkrótce odbierze rodzinie mieszczańskiej arystokratyczne piętno „dobrej". Za tym przyjdzie bez wątpienia dezorganizacja jej tradycyjnej postaci i konieczność przekształceń, z szeregiem różnorakich problemów do rozwiązania. Ale nie o tym tutaj.

Świadczenie usług dziecka w gospodarstwie rodziny robotniczej to znów działalność bez charakteru gospodarczego, lub o takim charakterze lecz w stopniu nieznacznym, jak nieznaczące są dla prawą czynności małych chłopców i dziewcząt, kupujących w sklepiku żywność co rano, dla wyręczenia zajętej przy garnkach matki.

Pozostaje teraz najistotniejsze zagadnienie, a mianowicie zagadnienie usług dziecka chłopskiego we wspólnym gospodarstwie; gospodarstwo to wyobraża mniej „dom", przytulisko, a więcej samo „gospodarstwo", zespół środków produkcji.

Prawo powiada: „dziecko, które pozostaje we wspólności rodzinnej na utrzymaniu rodziców ma obowiązek świadczenia usług we wspólnym gospodarstwie". W interesującym nas przypadku „dziecko", to nie tylko pacholę albo dziewczynka, lecz także dorosły kawaler i dorosła panna, nieusamodzielnieni ekonomicznie, utrzymywani przez „starych" rodziców, pozostający we wspólnocie rodzinnej. Ich obowiązek świadczenia tego rodzaju usług jest pod każdym względem oczywisty. Orzą więc i sieją, młócą oraz oporządzają w stajni i oborze, gotują i piorą, pracują tak jak ich rodzice, a może więcej nawet, podług miary młodzieńczej siły.

Zgodnie z pradawnym, lecz wcale nie dobrym obyczajem chłopskim, posługi dziecka zaczynają się prawie od kołyski. A więc pasenia gęsi, z kolei świń, krów. Do dziś jeszcze wzorem chłopskiego dziecka do naśladowania jest dziesięcioletni malec orzący „do zagonu" a nie zaledwie „w podorywkę", idący do szkoły późno po kopaniu, w listopadzie, rozpoczynający ferie letnie wczesną wiosną, z pierwszym wygnaniem bydła z obory.

Jednak w ten sposób pojęte „posługi chłopskiego dziecka" wykraczają daleko poza osnowę omawianego tu przepisu, zawartego w art. 18 § 2 prawa rodzinnego. Mało, są one działaniem sprzecznym z tym przepisem, obciążającym rodziców zarzutem bezprawia. A to wynika znów z art. 20 § 3 prawa rodzinnego, który nakazuje, aby rodzice sprawowali swą władzę tak, jak tego wymaga **dobro dzieci i interes społeczeństwa.**

Obydwa te czynniki zawsze uzupełniają się nawzajem a utożsamiają wielokroć. Ich pojęcie wszakże jest nawskroś nowoczesne, obce jeszcze XIX-towiecznemu pojmowaniu rodziny, cechującej się wszechwładzą rodziców—a zwłaszcza „suwerennego" ojca—w zakresie opieki nad dziećmi na terenie „domów", tworów izolowanych w słabszym lub mocniejszym stopniu od życia społecznego. Normy konwencjonalnej moralności łagodziły ówczesny stan prawny tylko nieznacznie, omijając klasę chłopską w zupełności.

I dlatego np. nie raziło nikogo już długo po pańszczyźnie, że „okólniki" do wypasania dworskich świń przez parobczyńskich „pasturków" zawsze rozplanowywano tuż w kręgu dworskich karczem. Wytańcowywały te dzieci od najmłodszego najpierw pod oknami arendy, pod karczemną muzykę, zaprawiały się w oberkach a równocześnie do przyszłego pijaństwa, warunkującego przebywanie w karczmie („konsumcja obowiązkowa").

Ten drastyczny przykład winien dobrze uzmysławiać, jak nową jest idea powszechnie rozumianego dobra dzieci i objektywnego interesu społecznego przenikająca nowoczesne ustawodawstwo.

Stare prawo, wegetujące tu i owdzie po dziś dzień znało w to miejsce elastyczny i ruchomy czynnik „dobrej wiary" i „staranności", dopasowywany w miarę potrzeby komu trzeba i nie trzeba — „dobrym ojcom rodzin", „starannym kupcom", „starannym kapitanom statków" itp., co w żadnym razie nie realizowało sprawiedliwości społecznej, choćby w minimalnej skali, a tylko pozwalało sędziemu w wypadkach sporu łatwiej konstruować między kolidującymi interesami stron procesowych tzw. prawdę formalną, obcą dzisiejszym wyobrażeniom o sprawiedliwości społecznej. Na tę właściwość wczorajszych kodeksów cywilnych zwrócił pierwszy uwagę Karol Marx, atakujący namiętnie ową tradycyjną „architektonikę prawa cywilnego", opartą o wywody prawników rzymskich, rozwijających systematycznie mnóstwo zasad prawnych, właściwych gospodarstwu wielkokapitalistycznemu, nieuspołecznionemu i antyspołecznemu.

„Dobra wiara" kapitalistów i liberałów XIX wieku pozwalała zatrudniać w przemyśle dziesięcioletnie dzieci przy obracaniu kół napędowych tkalni, po 12 godzin na dobę. Ich „staranność" w dopełnianiu umów robotniczych z dziećmi nie wykraczała poza przestrzeganie zasady, że w imieniu dziecka — robotnika winien zawsze występować ojciec. O elemencie „dobra dzieci" i „interesu społecznego" śniło się co najwyżej światłym rewolucjonistom tej epoki.

W Polsce liberalistyczny kapitalizm należy do przeszłości, przemysł dzieci nie zatrudnia, zatrudnia je natomiast gospodarstwo chłopskie w bardzo szerokim rozmiarze, czego też nie daje się uniknąć obecnie.

Istnieje powiedzenie że połowę majątku chłopa stanowią jego dzieci. Chłop bezdzietny jest gospodarczo upośledzony w porównaniu do innych.

W tym układzie widać niezawodnie, że tylko w wypadkach wyjątkowych usługi własnego nieletniego dziecka chłopa, we wspólnym chłopskim gospodarstwie, nie będą przeszkadzały mu w nauce, nie będą opóźniały i utrudniały jego rozwoju umysłowego oraz fizycznego itd. To samo odnosi się do drugiego elementu prawa chroniącego osobę zapracowanego dziecka tj.: do interesu społecznego.

Jedynym wyjściem z tego układu stosunków byłoby zastąpienie pracy dzieci własnych pracą dzieci najemników. Lecz to rozwiązanie musi być uznane za nie mniejsze zło niż tamto. Na dłuższy dystans nie dałoby się utrzymać z przyczyn wyjaśniających zanik instytucji służby domowej w miastach polskich.

Zagadnienie usług dziecka w gospodarstwie chłopskim rozwikłuje powoli lecz konsekwentnie samo życie, dzięki postępowi spółdzielczości na wsi, technizacji produkcji rolnej i dzięki zreformowaniu szkolnictwa podstawowego oraz zawodowego. Na razie jednak przepis prawny zawarty w art. 20 § 3 prawa rodzinnego, gdy chodzi o stosunki chłopskie, nazbyt często działa tylko w próżni.

Ze sprawą stanowiska dziecka w rodzinie chłopskiej wiąże się ściśle sprawa opieki **nad tym dzieckiem, innej niż rodzicielska.**

Fenomenolodzy polskości

Wychodzący w Paryżu emigracyjny kwartalnik literacki „Kultura“ — Nr 2 — 3 skarży się w artykule wstępnym na przemilczanie przez nasze publikacje i czasopisma krytyczno-literackie potężnych osiągnięć naukowych i artystycznych emigracji.

Prasa „kraju niewolnego“, „nadzorowanego przez namiestnictwo Rosji“ nie może dostrzec „wysokiego światła“, jakie podniosło się na wygnaniu by „oświecać również i drogi w Polsce“.

Jak dotąd — stwierdza artykuł — ukazała się w kraju jedynie rozprawa Jana Hulewicza w zeszycie 7 — 8 „Twórczości“ — „niekompletna i skrojona ad usum regimu“, „pisarzy emigracyjnych przedrukowuje się jedynie w camera obscura i w rubrykach „z krainy bełkotu“.

Czytającego te słowa mocno przejął ów krzywdzący i zabójczy dla „kultury“ stan rzeczy, by więc błąd choć w części naprawić podaję ad usum studionis, szereg cennych wyjątków ze zjawiskowej rozprawy o Sienkiewiczu, Żeromskim, Prusie i Reymoncie łącznie, drukowanej na honorowym miejscu powyższego kwartalnika. Już sam tytuł „Fenomenodzy polskości“. ze wstydem przyznać muszę, niezbyt dla mnie pojęty, niewątpliwie zawiera subtelne i głębokie treści naukowe, świadczy jak bardzo zostaliśmy w tyle pod względem wiedzy krytycznej i umiejętności analitycznych za fenomenalnie zdolną emigracją.

Autor rozprawy — Karol Ign. Hołubudzki, za pomocą instrumentów krytycznych, będących zastrzeżoną tajemnicą emigracji, wydobywa rzeczy zgoła jeszcze przez naszych badaczy niedostrzeżone

Czterej omawiani pisarze to — jak się okazuje — zjawiska literackie i historyczno-społeczne — **identyczne**, zawartość problemowa i jakość oddziaływania społecznego utworów — prawie identyczna (głebsze różnice występują jedynie, co jest dla Hołobudzkiego nie bez znaczenia, w dziedzinie temperamentów pisarzy. Wykazuje to autor za pomocą precyzyjnej i niepodlegającej dyskusji metody nieboszczyka Hippokratesa). Przyczyna tej identyczności jest dla krytyka jasna, tkwi ona w **wiecznie tej samej statycznej naturze polskiej**, która determinowała działalność literacką każdego z czterech wielkich pisarzy.

„Jest coś rozrzewniającego — pisze Hołobudzki — w myśli na przykład o antagonizmie pomiędzy Sienkiewiczem i Żeromskim, o tym, że nazwiska ich wytyczyły linie podziału w społeczeństwie, że kłócono się o nich tak zażarcie na zebraniach, w gazetach, na wieczorkach i poważnych cercle'ach. I o cóż było się kłócić? Toć **bracia rodzeni.** Tylko, że jeden sangwinik i flegmatyk (mieszanina, która Sienkiewiczowi bardzo wyszła na dobre) drugi melancholik. Ale znajdą się zawsze, zbierają się z przyrodniczym prawie determinizmem w punktach węzłowych natury polskiej“.

Solidaryzując się najzupełniej z dowodem autora, myślę, że byłoby nie od rzeczy wyprowadzić wniosek uzupełniający, iż wskutek działania tego samego czynnika nie ma, i nie może być, żadnych różnic w całej literaturze polskiej w jej historycznym przebiegu od św. Wojciecha, świętobliwego autora „Bogarodzicy“ do — przypuszczam — dnia Sądu Ostatecznego.

Mistrzowska analiza formalna „Trylogii“ przynosi nowe rewelacje. Okazuje się, że wielki pisarz był genialnym fizykiem i to na skalę ery atomowej, gdyż poczynił szereg wynalazków z pogranicza fizyki i literatury:

1) strzelające zdania:

Czytamy: (cechuje go) „pewność r z u t u malarskiego, faktura krótkich zdań, z których w y s t r z e l a cud życia.“

2) Autor „Trylogii“ był w posiadaniu takiej umiejętności przeciągania linii, by otrzymać tęgą wibrację:

„Umiejętność chwytania rzeczywistości z paru stron naraz i to takich właśnie stron, że przeciągnięte l i n i e dają w p r z e c i ę c i u najtęższą w i b r a c j ę artyzmu“.

3) Wynalazł sposób przemiany stylu w potężną energię elektryczną (racjonalne wyzyskanie tego wynalazku miałoby bez wątpienia kolosalne znaczenie dla naszego młodego życia gospodarczego):

„Sekret z e s t r o j o w y pokazał nam Sienkiewicz w b ł y s k a w i c a c h swego stylu, który“ — dzięki tej inowacji — „w y t r z y m a ł o b c i ą ż e n i a stucznej archaizacji.“

4) Wielkie osiągnięcia na polu akustyki zbiorowej: „Każda scena, postać, sytuacja uświetniła wielkość a k u s t y k i zbiorowej.“ Uczony krytyk stwierdziwszy jeszcze, że wszystkie postacie, z wyjątkiem falstafowskiego Zagłoby, są również „arcy — fenomenami“ polskości — przechodzi do Żeromskiego, ponieważ jednak jest człowiekiem postępowym, nie solidaryzuje się, a owszem z oburzeniem piętnuje „współczesne“ zdania o niemoralności autora „Dziejów Grzechu“.

Nie zgadzałby się taki osąd autora z jego godnością, ponieważ wielki społecznik jest osobą duchowną, co prawda nieco pogańską.

„Był on mimowolnym, na pewno nieraz tragicznie zbuntowanym przeciw swemu bóstwu kapłanem: „ROZKOSZY KLĘSKI“ (Piszę to imię zgodnie z intencjami autora który stosuje w swej rozprawie z namaszczeniem biblijnym cztery rozmiary czcionek, największymi literami). U bogini tej niedoceniony przez współczesnych pisarzy nauczył się umiejętności, sądząc po jej imieniu, dość niezwykłych — gdyż współczesnej strategii — operowania na tyłach wojsk nieprzyjacielskich samolotami:

„W dziełach były istotnie duże możliwości przerzutu“. Z Prusem parą się fenomenalny uczony dość krótko, jednak w sposób przecinający mieczem gordyjskim zbędne dyskusje na ten temat w „Kuźnicy“.

„Prus był oddzielony grubym pierścieniem izolacji od „toczącego“ się życia, a obawa przestrzeni jeszcze tę izolację pogłębiła“. Zato Reymonta ceni Hołobudzki najbardziej — radykał społeczny, ponieważ „mimo banału stylowego i miejsc puszczonych“, był nie tylko najbardziej marksistowski z naszych pisarzy, lecz wzniósł się ponad marksizm to dlatego, że „wierzył w siłę człowieka i zbiorowości ludzkiej“.

Kończąc omawianie dla braku miejsca jednej tylko pozycji tego wyrównanego i przodującego w ogólnopolskim życiu naukowo-literackim pisma czuję się jedynie w obowiązku uzupełnić autora, który ze zrozumiałych względów ograniczył listę nazwisk, podciągniętych pod swój zaszczytny termin naukowy, do czterech. „Arcy — fenomenologami polskości“ są również, jak widać niezbicie z kart kwartalnika „Kultura“, wszyscy jej współpracownicy z niezrównanym znawcą złotego wieku powieści polskiej na czele.

Diogenes Chróścielewski

List do Redakcji

W sprawie socjologii „pekinu“

Do Obywatela Redaktora

Tygodnika Społeczno — Literackiego „Wieś“

W związku z artykułem Ob. Jerzego Falenciaka w numerze 48, 1947 r. „Wsi“ pt. „Moje pokolenie“ mam zaszczyt prosić o zamieszczenie moich kilku uwag, które będą niejako uzpełniały ten artykuł.

1) Dr Falenciak dowodzi, że postać „Teofila Piecyka“ już dosyć dawno oderwała się od tego, co on nazywa „pekinem“. Otóż zdanie takie nie wydaje mi się trafnym, ponieważ „pekin“ to nie tylko siedlisko miejskiego proletariatu lecz też skupisko „drobnomieszczańskiej dołowizny oderwanej od robotnika.“

2) „Szwagrowie Piekutoszczaki“ i ci w rodzaju „Walerego Wątróbki“ zamieszkali i zamieszkują przede wszystkim przedmieście Warszawy. Ale dużo mieszka także i w śródmieściu, nieraz zajmując pięciopokojowe lokale **per fas et nefas**, może na ul. Widok gdzieś pod 5-tym numerem. Wydaje mi się, że i oni oderwali się od robotników, jeżeli w ogóle byli kiedykolwiek robotnikami.

3) Zrównanie „pana Krówki“ z „Teosiem Piecykiem“ jest nieścisłe i nie właściwe. „Pan Krówka“ jest na pewno warszawskim drobnomieszczaninem najdrobniejszego kalibru. Jego ewolucja szła po drodze: wieś — „pekin“ — sklepik lub warsztat rzemieślniczy w suterenie. — Nie wiem jakie są sugestie wewnętrzne i emocje społeczne Ob. Falenciaka przy czytaniu felietonów Wiecha. Ja „p. Piecyka“ widzę zupełnie inaczej niż „p. Krówkę“ dla mnie „T. Piecyk“, uosabia niejednokrotnie jakiegoś Zagłobę czy Falstaffa z warszawskiego „pekinu“ zubożałego szlachcica, który w toku społecznej demokratyzacji ludności miast polskich zatracił swe dawne cechy przynależności do warstwy szlacheckiej, z której pochodził i stał się drobnomieszczaninem (tzw. drobnomieszczaństwo nabyte). Parafrazując wyrażenie Autora artykułu skłaniam się raczej do przekonania, że „Pan Piecyk“, to raczej zawsze „dołowizna szlachecka“ niż „dołowizna drobnomieszczańska.“

Raczcie przyjąć Szanowny Redaktorze wyrazy mojego szczerego uznania i paważania.

Adw. Tadeusz Majewski

NA WARSZTACIE

W związku z zapowiedzią Ob. Prezydenta R. P. wzmożonej i planowanej akcji wydawniczej w roku 1948 oraz po przeprowadzeniu rozmów z odpowiednimi instytucjami państwowymi mającymi wpływ na politykę wydawniczą Red. tyg. „Wieś“ zwróciła się do pisarzy z prośbą o udzielenie odpowiedzi na następujące pytania:

1) Jakie dzieła (utwory) posiada Kolega w rękopisach gotowe do druku (drukowane częściowo w pismach, niedrukowane w ogóle)?

2) W jakim terminie mógłby Kolega nadesłać nam powyższe utwory?

3) Co w tej chwili posiada Kolega na warsztacie pracy: a) proza, b) poezja, c) prace naukowe, d) prace publicystyczne (dokładnię tytuł, zakres, ogólnie orientację treściową, przewidywana objętość — tomy, strony) oraz co planuje napisać w roku 1948?

4) W jakim terminie Kolega przewiduje ukończenie każdej z wyżej wymienionych prac — w jakiej kolejności i w jakim terminie mógłby Kolega nadesłać te prace do redakcji?

Plon pisarski sygnalizowany w pierwszych spośród nadesłanych odpowiedzi jest dosyć spory i zaprzecza biadaniom wydawców o nikłej podaży utworów do druku, nie mówiąc o ciekawych zamierzeniach na przyszłość.

WŁADYSŁAW DUNAROWSKI

Na pismo Pana Redaktora odpowiadam w kolejności postawionych pytań:

1. W r. 1947 ukazały się drukiem cztery moje prace: „Ludzie spod miedzy“ wydanie II — tomik nowel; „Zachodni wiatr“ — obraz sceniczny; „Dni oczekiwania“ — oraz ostatnio w Wyd. E. Kuthana „„Leżąc krzyżem“ — powieść napisana podczas okupacji.

Do druku mam gotowy tom opowiadań zatytułowany „Ostatni zakręt“. Są to opowiadania z życia wsi, stojącej niejako u progu wielkich przemian powojennych. Niektóre z tych opowiadań były drukowane w „Arkonie“, „Odrze“, „Kuźnicy“ oraz „Wsi“ („Ofiarowanie“).

2. „Ostatni zakręt“ mógłbym przesłać w ostatnich dniach stycznia 48 r. (Objętość ok. 250 stron maszynopisu).

Wobec powyższego przerywam pertraktacje z jednym z moich dotychczasowych wydawców — do czasu ocenienia tej pracy przez Waszą Komisję Kwalifikacyjną.

3. W tej chwili kończę utwór sceniczny dla Wyd. „Nauka“ w Bydgoszczy. Niezależnie od tego zbieram materiał i robię przygotowania do większej powieści, której tytuł prawdopodobnie brzmieć będzie: „Życie się zaczyna“ Akcja powieści rozgrywać się będzie częściowo na starych ziemiach Polski centralnej już w okresie powojennym, częściowo wśród osadników rolnych i robotników fabrycznych Dolnego Śląska, Ziemi Lubuskiej, Pomorza Zachodniego i Wybrzeża. W powieści tej chciałbym uwzględnić możliwie wszystkie osiągnięcia gospodarcze, jak i kulturalne wsi współczesnej, a zwłaszcza człowieka, idącego po drodze awansu społecznego. Człowieka, któremu warunki polityczne pozwoliły zdobywać pełnię życia usuwając cień egzystencji „Ludzi spod miedzy“ i „Leżących krzyżem“ przed swą tragiczną dolą. Całość planuję w jednym tomie.

4. Ukończenie tej pracy przewiduję na jesień 48 r. Zresztą będzie to zależało od tego, czy uzyskam urlop na okres tej pracy.

PAWEŁ KUBISZ

Umowę na wydanie przekładu chłopskiej powieści Franciszka Krzeliny p. t. „Pęknięty kościół“ (czechosłowacka państwowa nagroda literacka w roku 1937) podpiszę w Warszawie w dniach 4—6 stycznia 1948 r. Wydawca zobowiązał się już, że polski przekład „Pękniętego kościoła“ ukaże się w pierwszych miesiącach 1948 roku.

Nowy tomik poezji p. t. „Czas milczenia“ zostanie wydany przypuszczalnie już z końcem marca 1948 roku w nakładzie SLA Polskiego Związku Kulturalno - Oświatowego w Czeskim Cieszynie.

Przypuszczalnie w marcu 1948 r. przystąpię do sporządzenia przekładu drugiej powieści Franciszka Krzeliny p. t. „Chude lata“. Powieść ta wydana po raz pierwszy w roku 1936 (nagrodzona na konkursie literackim nagrodą Szvehli) jest najpoczytniejszą książką tego autora — dotąd wyszło w Czechach 8 wydań tej powieści. Tematyka tej powieści to tragedia bezrobocia (lata 1932—4) w przemyśle na pograniczu czesko- niemieckim gdzie pracują czescy małorolni chłopi. Oryginał zawiera 230 stron druku (strona = 32 wiersze a plus-minus 43 znaki pisarskie). Spodziewam się, że i ta powieść Krzeliny — bez większych „zachodów“ — znajdzie i w Polsce swego wydawcę, tym bardziej, że przekład pojawił się już nawet w Holandii.

Jeśli idzie o plan wydawniczy „Wsi“ na rok 1948 — to od siebie mogę zaproponować do wydania:

„Legendę Wydziedziczonych“, dwuaktowy dramat wierszem (33 strony maszynopisu bez interlinii, utwór znany redakcji „Wsi“ przed poczynieniem ostatecznych, drobnych poprawek!) Stawiam jednakże pewien warunek: zobowiązania się do prędkiego wydania i do wypłacenia 15 proc. honorarium. Ostatnio odrzuciłem ofertę prywatnego wydawcy, który chce wydać „Legendę“ w nakładzie 3.000 egz. stawkując honorarium autorskie zaledwie na 10 proc.

Dalej mogę zaoferować do planu wydawniczego „Wsi“ trzecie wydanie „Przednówka“ powiększone o dwa dalsze utwory. Jak wiadomo 2 wydanie „Przednówka“ choć tak niefortunnie kolportowane przez O. W. ZZLP jest już wyczerpane.

Takie są moje zamierzenia wydawnicze jeśli chodzi o pierwsze półrocze 1948 r.

MARIANNA KOŚCIŃSKA

Mam przygotowaną do druku powieść p. t. „Wychowawcy“. Powieść mówi o losach wiejskiej dziewczyny, która idzie na służbę do miasta; całość jest zabarwiona społecznie przez równoczesne odzwierciedlenie obyczajów i stosunków wiejskich, małomiasteczkowych i miejskich. Powieść ta będzie obejmowała w przybliżeniu 240 stron książkowego druku. Ponieważ ukończyłam jej opracowanie z końcem października br oddałam ją do oceny prof. Pigoniowi, gdzie się obecnie znajduje. W połowie stycznia mam ją odebrać z powrotem. O ile nie musiałabym powodować się oceną prof. Pigonia o której nie wiem jeszcze jak wypadnie, mogłabym odesłać rękopis do „Wsi“ zaraz po jego odebraniu.

Oprócz powieści mam w tej chwili w opracowaniu cztery nowele o tematyce wiejskiej, obyczajowej. Piątą nowelę pt. „Podegrodzki matac“ drukowała w części „Wieś“. Tytuły opracowywanych obecnie nowel nie są jeszcze ustalone. Wszystkie cztery nowele będą gotowe za 3—4 miesiące. Nowele te łącznie z „Podegrodzkim matacem“ będą obejmowały 180 stron druku książkowego. Jako wiejska obyczajowa o zabarwieniu społecznym całość nadawały by się bardzo do książkowego wydania.

STANISŁAW GĘBALA

W odpowiedzi na Wasz list i na załączone w nim pytania odpowiadam:

1) Powieść reportażowa p. t. „Brzegiem Sanu“ (podtytuł „Ośrodek Dzierżanowo“) powieść o zwycięstwach i klęskach, rozwoju myśli państwowej, antagonizmie dwu gromad, konflikcie na tle nierównomiernego obdzielenia tych gromad przez reformę rolną. W tym fragmenty małej „wojenki domowej“ trwającej aż do dnia ogłoszenia ogólnej amnestii i przez tę zakończonej w nieoczekiwany sposób.

Konflikt między dwoma wrogimi obozami rozwiązują młodzi.

2) **Pracę tę mam zamiar ukończyć** do 20.II. 1948 roku.

3) a) „Brzegiem Sanu“, b) artykuły polemiczne na temat „miasteczko polskie w roku 1947“, w których chcę wykazać, że tzw antagonizm „Wieś-miasto“ jest właściwie zawiścią wsi do miasteczka, gdzie dostosować można słowa „staropolska gościnność, młodopolska lekkomyślność i obwiepolskie sympatie“ plus karykaturalne naśladownictwo zmierzchającej już szlachetczyzny. Artykuły na ten temat staram się opublikować w „Odrodzeniu“ w „Miesięczniku Ludowym“ i ewentualnie we „Wsi“.

Planuję stworzenie dramatu dla młodzieży projektowanego jako widowisko pod gołym niebem. Widowisko tego rodzaju jest po prostu potrzebne.

4. Artykuły publicystyczne prześlę na każde żądanie, widowisko będzie gotowe na dzień 1 marca.

KLEMENS OLEKSIK

Cieszę się bardzo, że ruchliwa Redakcja „Wsi“ wszczęła inicjatywę, która umożliwi młodym pisarzom spełnienie ich gorących marzeń: ujrzenia swoich prac na półkach księgarskich. Nie chcę być obłudnym i sam przyznaję się do tego rodzaju marzeń, gdyż awans taki pozwala mi na wybranie właściwej drogi pisarskiej. Oczekiwanie na debiut w Oddziale Wiejskim przeciąga się i kto wie czy doczekam się jeszcze w tym roku swojej kolejki.

1. Posiadam dwie powieści gotowe do druku: „Spalone mosty“ i „Zbrodnia Pawła Zadury“. Obie drukowane były w odcinkach gazetowych. Po małej korekcie, którą teraz przeprowadzam, mogę je wysłać po 2 tygodniach.

2. Tomik wierszy.

3. Pracuję nad powieścią pt. „Powołanie Daniela“. Jest to życiorys chłopca ze wsi z rodziny wyrobniczej, pragnie się kształcić. Normalna nauka jest niedostępna z braku środków (rzecz sprzed 1939 roku). Przez pobyt w klasztorze, ciężkie lata w Warszawie, udaje mu się ukończyć gimnazjum. Pierwszą część (powieść zamierzona jest w dwóch częściach) skończę prawdopodobnie w lutym, jeśli praca zarobkowa nie pochłonie mi wiele czasu. Objętość pierwszego tomu (Powołanie Daniela) przewiduję na 300 stron.

Rozpocząłem także powieść z życia osadników: trzy rozdziały skończone. Prawdopodobnie będzie miała tytuł: „W Jastrowiu mówią o wojnie“. O tej pracy nie wiele jeszcze mogę powiedzieć.

Redaktor naczelny — **Jan Aleksander Król.**

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł; 1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 5.000 zł.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 40.—zł, kwartalnie 120.—zł, półrocznie 240.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII — 1080.

Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik“ Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—018382